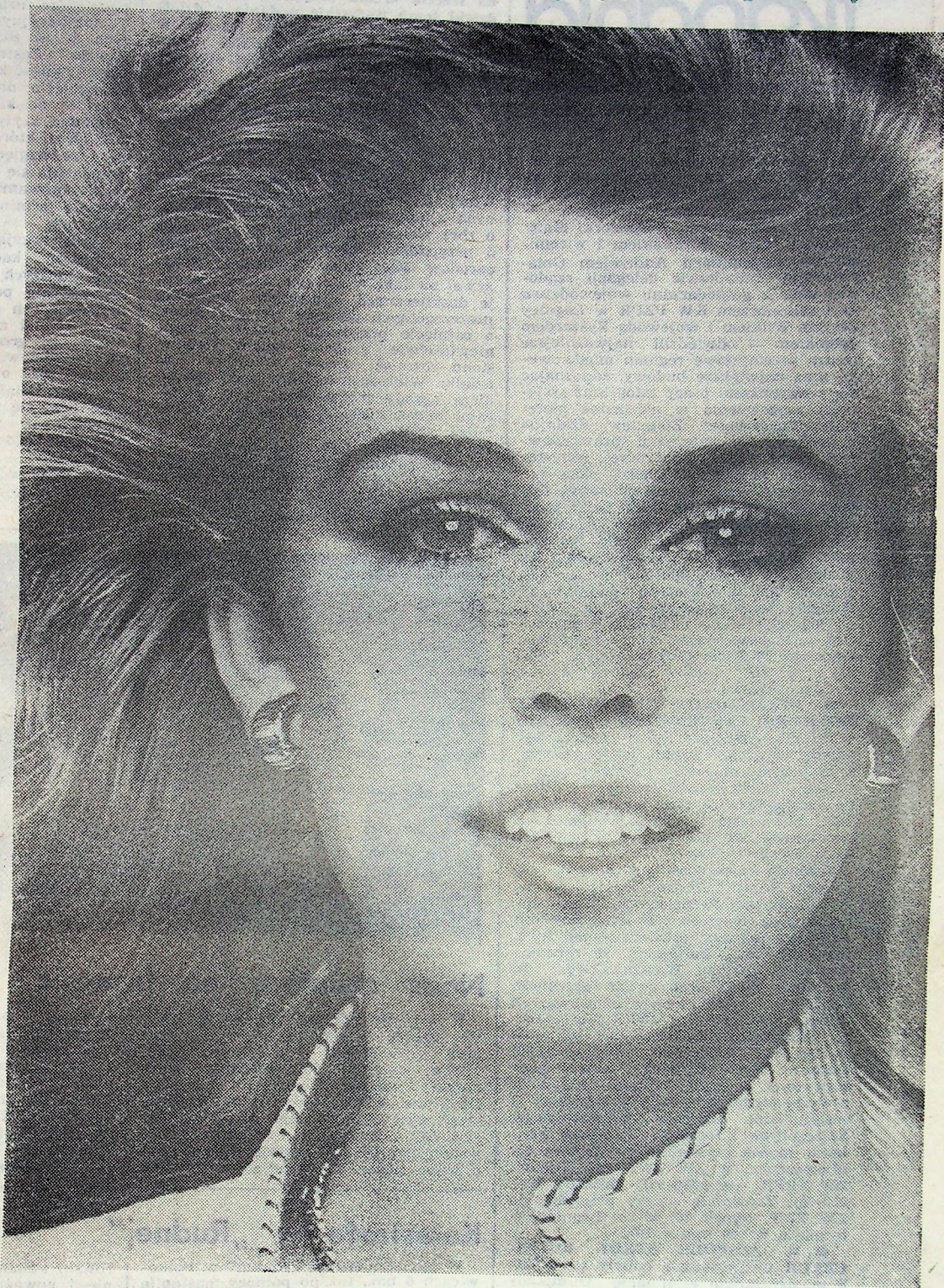


Tygodnik PZPR • Legnica • Rok XIII
Nr 657 • 8 marca 1985 r. • 10 zł
PL ISSN 0137-4680 • Nr ind. 36272

„Rozmowa liryczna”

Konstanty Ildefons Gałczyński

— Powiedz mi, jak mnie kochasz.
— Powiem.
— Więc?
— Kocham cię w słońcu. I przy blasku świec.
Kocham cię w kapeluszu i w berecie.
W wielkim wietrze na szosie i na koncercie.
W bzach i w brzościach, i w malinach, i w
klonach
I gdy śpisz. I gdy pracujesz skupiona.
I gdy jajko rozłukujesz ładnie —
nawet wtedy, gdy ci łyżka spadnie.
W taksówce. I w samochodzie. Bez wyjątku.
I na końcu ulicy. I na początku.
I gdy włosy grzebieniem rozdzielisz.
W niebezpieczeństwie. I na karuzeli.
W morzu. W górach. W kaloszach. I boso.
I wiosną, kiedy jaskółka przylata.
— A latem jak mnie kochasz?
— Jak treść lata.
— A jesienią, gdy chmurki i humorki?
— Nawet wtedy, gdy gubisz parasolki.
— A gdy zima posrebrzy ramy okien?
— Zima kocham cię jak wesóły ogień.
Blisko przy twoim sercu Kolo niego.
A za oknami śnieg. Wróty na śniegu.



Pupil czy ubogi krewny?

W środowiskach ludzi z wyższymi kwalifikacjami rodzą się nastroje frustracji i apatii społecznej. Nie dają oni z siebie państwu, gospodarce, nauce, kulturze — tyle ile by mogli dać. Pozycja ubogich krewnych jest zresztą sprzeczna z założeniami marksizmu, zwłaszcza ekonomią, która zakłada wyższe wynagrodzenie za pracę bardziej złożoną.

3

Szkoła w środowisku

Zagadnienia pracy dydaktycznej i wychowawczej znajdują się w centrum zainteresowań Podstawowej Organizacji Partyjnej istniejącej przy szkole. W trakcie kampanii sprawozdawczo-wyborczej w listopadzie 1983 roku podjęto uchwałę, która zobowiązuje nauczycieli — członków partii do szczególnej troski o patriotyczne wychowanie młodzieży i opieki nad organizacjami młodzieżowymi działającymi na terenie szkoły.

4

Gra o dużą stawkę

Najgorzej wygląda Akademia Rycerska od strony dziedzińca. Elewacji zewnętrznych jeszcze nie odnowiono, szczyt pierwszego i drugiego piętra często gesto powyhijane przynębiającym obrazu dobniejaia noniewierające się resztki sprzętu mezbzoznego z niedawnych czasów, kiedy w murach akademii mieścił się maderen Wn. mādolipno Szpitala Zespolonego.

6

Spojrzenia Roberta Szecówki

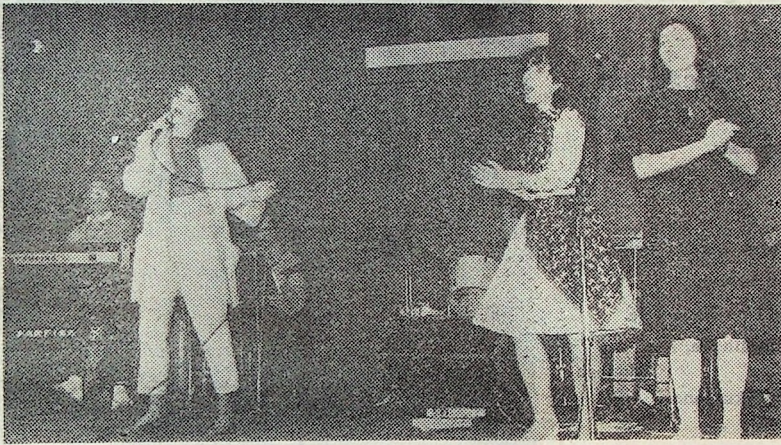
Nooo, wzmiechnij się!
Przecież dziś jest
twoje święto...



Roos

W jaworze. Zwycięzcy finału otrzymali nagrody rzeczowe ufundowane przez ZW ZSMP, wydział rolnictwa i ZW Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego w Legnicy. Decyzją "kierownictwa oddziału oświaty rolniczej" finaliści po ukończeniu szkół zasadniczych mogą ubiegać się o przyjęcie bez egzaminów wstępnych do technikum rolniczego w Legnickiem. Dodatkową atrakcyjną nagrodę ufundował ZW ZSMP przyznając zwycięzcom skierowania na obozy szkoleniowo-wypoczynkowe w kraju i za granicą.

28 lutego odbył się w Legnicy III Wojewódzki Zjazd Delegatów Pracowniczych Ogrodów Działkowych Polskiego Związku Działkowców. Dyskutowano na temat dalszego rozwoju i zagospodarowania ogrodów działkowych. Jan Włodarski mówił o kłopotach związanych z zaopatrzeniem działek w wodę, o zbyt wolnym grodzeniu terenów oraz o przypadkach błędnego projektowania ogrodów. Mieczysław Wasilewski wskazywał na luki w statucie, który nie daje dostatecznych uprawnień zarządom poszczególnych ogrodów np. gdy chodzi o cofnięcie przydziału działek osobom, niewłaściwie gospodarującym. Podniesiono również sprawę dojazdów na działki. Większość terenów pod pracownicze ogrody przydzielono poza granicami miast, niektóre nawet w bardzo dużej odległości, np. w Kulowie — 14 km od Głogowa. Innych możliwości nie było. Typowanie terenów pod działki napotykało na wiele ograniczeń, ponieważ nie wchodziły w rachubę te obszary, które znajdują się w tzw. strefie



Prace Joanny Jasinskiej na wystawie „Sztandar Pokoju” w Muzeum Narodowym w Warszawie. W tle: wystawa w Muzeum Narodowym w Warszawie. W tle: wystawa w Muzeum Narodowym w Warszawie.

Szukanie winnych

Józef Bartoszewski

W Anglii, we Francji, w Niemczech XVII, XVIII i XIX wieku, ubożenie drobnych posiadaczy i rzemieślników, rugowanie chłopów z pastwisk i pól uprawnych, stanowiło początek trwających przez dziesiątki lat wędrówek do coraz prężniej rozwijających się metropolii. Zdegradowany rzemieślnik, spauperyzowany chłop, skazani byli na los stokrotnie gorszy od dotychczasowego. Na katorżnicze warunki pracy trwającej po kilkanaście godzin na dobę, w piątek i święta. Ale oprócz niej już nie mieli. Nawet iskierek nadziei na przetrwanie. Dlatego ruch niszczycielskiej maszyny, pierwszy wielki protest przeciw bezrobociu, był tak desperacki. Nie zatrzymał jednak rewolucji przemysłowej rujnującej tysiące ludzkich egzystencji, zmieniającej dotychczasowy układ społeczny, początkującej rozwój dwóch bliźniaczych klas. Burżuazji i proletariatu.

Rozwój techniki przyczynił się do rozwoju wiedzy robotnika. Wyższy stopień wtajemniczenia prowadził nie tylko do lepszego zrozumienia własnej sytuacji społecznej, stopniowego niegodzenia się na nią, ale także do poznawania maszyn, zasad ich obsługi. Tak się zaczyna kultura techniczna.

A u nas?

Nie mieliśmy swojego XIX wieku. Przemian związanych ze wstępnym uprzemysłowieniem nie przechodziliśmy ani 200, ani 100, ani nawet 60 lat temu.

W 1938 r. zaledwie 5 mln osób w Polsce utrzymywało się ze źródeł pozarolniczych. Przemysł zatrudniał niecałe półtora miliona osób, natomiast rolnictwo aż 60 proc. ludności. Nadwyżka siły roboczej sięgała 4 mln. Istniało wielkie rozwarstwienie społeczne. Zdaniem specjalistów, również burżuazyjnych, zacofanie naszego kraju w stosunku do najwyżej rozwiniętych sięgało minimum 150 lat. Istniało totalne uzależnienie gospodarki od kapitału zagranicznego. Reformy były koniecznością dziejową. Kto je miał przeprowadzić? By uzyskać odpowiedź na to pytanie, wystarczy przypomnieć sobie losy reformy rolniczej z 1920 i 1925 r. Już nie raz i nie dwa powiedziano, że jedyną siłą społeczną, zdolną do przekształcania świata na danym etapie rozwoju, może być ta, która ma największe powody do niezadowolenia... Pod koniec XVIII w. we Francji klasą tą była burżuazja.

14 lipca 1789 r. lud Parvża atakując Bastylie, w istocie obalił monarchię. Głowy królewskie spadły trzy lata później. Ale monarchia wróciła jeszcze kilkakrotnie, za każdym razem stając się coraz ciśniejszym gorsetem dla klasy osiągającej wciąż wyższe i wyższe stopnie rozwoju. Republika we Francji stała się trwałą, historyczną rzeczywistością w 1875 r. Przewrót (lipcowy 1830 i lutowy 1848 r.) nie były niczym innym jak właśnie, według określenia Marksa „rewolucją w klasie”.

Po II wojnie światowej władzę w Polsce przejmowała biedota wiejska, pracownicy najemni manufaktur i zakładów rzemieślniczych, posiadający mgliste lub żadne pojęcie o industrialnej technice, pod przewodnictwem nielicznej grupy przemysłowej klasy robotniczej. Bowiem ramy polityczny polski kapitalizm nie wytworzył dwóch silnych sił: syjamskich: burżuazji i proletariatu. A zawsze, gdy słaba jest klasa schodząca z dziejowej sceny, łatwo znieść stare struktury społeczno-polityczne. Zawsze również jest tak, że tam gdzie jest słaba klasa wchodząca na dziejową scenę, niepomniernie trudno konstruować system nowy. Gdy zaś klasa obejmująca władzę jest słaba, proces budowy nowego ustroju przybiera charakter odgórny. Tak było z kapitalizmem francuskim epoki napoleońskiej, z tych powodów zrodziła się pruska droga prowadząca do panowania burżuazji w Niemczech, dlatego ukształtował się paternalistyczny wariant owej drogi w Japonii. Niby dlaczego w socjalizmie ma być inaczej? Niby dlaczego klasa robotnicza nie może przeżywać

„rewolucji w sobie”? Oczywiście, nie jako skutek dziejowej zachcianki, a jako skutek dziejowej konieczności. Przypominam, w 1938 r. z rolnictwa w Polsce usiłowało się utrzymać 60 proc. narodu. Obecnie z roli żyje 24 proc. Polaków. Klasa robotnicza stanowi ponad połowę ludności kraju.

Tak samo jak 300 czy 200 lat temu w Anglii, we Francji, w Niemczech, tak samo w Polsce okresu powojennego głównie wieś zasilala jej szeregi. Ale u nas procesy urbanizacji i uprzemysłowienia nieodłącznie wiązały się z powszechnym awansem społecznym, nie zaś z masową degradacją.

W drugiej klasie gimnazjalnej kolega zaniedbał naukę. W czasie wywiadówki wychowawca zalałmywał ręce nad jego odmianą na gorsze. Ojciec po powrocie do domu nie ściągnął pasa, nie wygłosił pouczającego kazania. Przeciwnie. Uznał, że skoro memu kolegdzie przeszła chęć do dalszej nauki, nie musi chodzić do szkoły. Przez kilka następnych dni realizowany był wobec niego program oparty o dewizę: „noc wygania, noc przysypania”. Gdy bowiem zrobił wszystko, co miał do zrobienia w polu i zagrodzie, a słońce jeszcze nie skryło się za lasami, kazano mu przetrząść słomę z sasiada do sasiada, czyścić już i tak lśniące końskie grzbiety, strugać nowe paliki do pomidorów, choć starych było aż nadto. Pod koniec tygodnia, gdy przy najmniejszym ruchu czuł każdy mięsień, każde ścięgno, oświadczył, że jednak wraca do szkoły.

— Nie musisz — usłyszał w odpowiedzi — wcale nie musisz. Rozrzucając całe życie gnój, też z głodu nie umrzesz.

To nie była przenośnia. To była alternatywa.

Uciekli więc od tego brudu, jak kto mógł, najszybciej. Bo dla wiejskiego chłopaka pójście do fabryki, znaczyło dostanie się do cywilizacyjnych warunków, do osmiogodzinnego dnia pracy, urlopu, świadczeń socjalnych, teatru, kina. Młodzi wynosili pod niebiosa tych, którzy im to umożliwiali. Tylko, że zarówno ci młodzi jak i starsi — dawny farnal i rolnik biedujący na kilku morgach — nie zabierali ze sobą do miasta (bo skąd mieli brać?) wiedzy o dobrej robocie, o nowoczesnej organizacji pracy i technologii.

Znali jedynie ciężar trudu, nie zawzięcie przeciw potrzebom.

Postęp, rozwój był szybki. Młodzi poznali maszyny, ich właściwości, poszerzyli swoje horyzonty techniczne a przy okazji wiedzę o sobie oraz otaczającym świecie. Stali się fachowcami, mówcami, działaczami, politykami od tych, co zębry budowali. Im już sposób rządzenia, organizacja państwa proponowany przez poprzedników nie odpowiadał. I tak powstawały sytuacje kryzysowe, rodziły się „rewolucje w klasie”. Czy znaczy to jednak, że ten nowy „oddział” klasy robotniczej stał się panem nowoczesnej techniki, organizacji, nauki, czyli się myśleć kategoriami państwa, docenił dobroczynność socjalnej polityki dzięki której kiedyś, przed laty mógł z wiejskiego mozołu wyrwać się do zupełnie odmiennego świata?

A inteligencja?

Żadna klasa nie może zapewnić sobie panowania bez własnej inteligencji. Burżuazja także. W kapitalizmie inteligencja szybko stała się warstwą specjalistów od organizacji i administracji. — państwowej, przemysłowej, handlowej. Inżynier, główny księgowy, personalny, dyrektor i majster są i byli najmniejsi po to, by z procesu produkcyjnego jak najwięcej wycisnąć. Sprawna organizacja pełna inicjatywy administracji, ciągle żywa myśl techniczna zwielokrotniają zyski. Ale głównym wytwórcą jest robotnik. On jest podstawowym ogniwem pomnażania dóbr materialnych, na nim koncentrują się wszystkie wysiłki organizacyjne.

„U nas bywa nierzadko odwrotnie. U nas proces produkcyjny jest częściej, niż nam się zdaje, dostosowany do wygody administracji” — pisał Henryk Jankowski w zbiorze swoich esejów pt. „Refleksje obywatelskie”.

Przed laty w „Polityce” (nr 2 z 11 I 1975) Andrzej Wasilewski napisał: „To, co w tradycji polskiej było kulturalne, nie miało praktycznie większego znaczenia dla fizjonomii handlowej dziedziny, to zaś co zrodziło się z doświadczeń handlu, nie zaliczane było do wartości wchodzących do kodeksu rodzimej kultury”. To samo można powiedzieć o całej szerzej materialnej i ustosunkowaniu się do niej tego co z ducha i dla ducha.

Brak własnej państwowości przez kilka pokoleń, brak własnego przemysłu, własnej administracji, sieci służb państwowych, inne niż gdzie indziej wywołali skutki. Kultura a nie gospodarka była spoiwem łączącym naród ponad kordonami zaborów. Patriotyczną powinnością inteligencji była aktywność w sferze ducha, nie zaś w tworzeniu materialnych podstaw cywilizacji przemysłowej, głównie przecież obcej. Najlepsza, jeśli nie przeważająca ilościowo, to w każdym razie dominująca ideowo, część polskiej inteligencji miała wiele z judymowskiego sposobu myślenia i uczucia. Służba dla kultury, odpowiedzialność za nią, co w naszych warunkach równało się służbie dla narodu, odpowiedzialność za jego los, oto było postannictwo polskiej inteligencji. I swoją rolę spełniła należycie. Bo raczej pewne jest, że bez swojej kultury naród polski by nie przetrwał.

I taką właśnie inteligencję zastała rewolucja przemysłowa w Polsce. I takiej inteligencji przyszło modelować swoich następców na miarę czasów rewolucji naukowo-technicznej. Czy mogła ona utworzyć właściwe intelektualne modele? Może dlatego wielu dyrektorów nie wyniosło ze swoich uniwersytetów przekonania, że szturmowszczyzna jest burzycielem dyscypliny i nowoczesnej organizacji pracy? Może dlatego ministrowie, premierzy i sekretarze podkreślając akcyjne przypieszenia realizacji planów i podejmowania dodatkowych zobowiązań w związku z czymś tam, nie pojmowali, nie chcieli przyjąć do wiadomości, że w ten sposób stają się burzycielami dobrze zorganizowanego ładu, stanowiącego gwarant nowoczesnego tempa pracy? Może dlatego planiści doprowadzili do sytuacji, w której ciągle brakowało rąk do pracy, ponieważ rozwój przemysłu, budownictwa, uspołecznienia rolnictwa wyprzedzał nadmiernie możliwości biologiczne narodu, co stanowiło jedną z zasadniczych przeszkód w kształtowaniu powszechnego szacunku do pracy?

Na zjeździe ekonomistów w 1956 r. Oskar Lange stwierdził, że choroba, zapasć stalinizmu nastąpiła tylko dlatego, że w krajach socjalistycznych klasa robotnicza była niedojrzała społecznie i politycznie. Czy tego twierdzenia nie należy rozszerzyć również o niedojrzałość inteligencji do pełnienia „służebnej roli” wobec klasy robotniczej, czyli do nowej sytuacji ustrojowej i państwowej? Trudno zmierzyć ile jej zasługi w tym, że tak żywotne pozostaje dzielenie społeczeństwa na rządzących i rządzonych, na „my” i „oni”. XIX-wieczny stereotyp, nawet mimowolnie przenoszony w nasze czasy posiada przecież skutki zagrażające całemu państwu.

A równocześnie, zawsze wtedy, gdy w naszym kraju źle się dzieje, powszechne stają się pytania o to, dlaczego nie ma u nas szacunku do pracy, technologicznej dyscypliny, nowoczesnej organizacji, bez których trudno się utrzymać na powierzchni każdego państwa? I rozpoczyna się „przewód sądowy”, którego celem jest wskazanie palcem winnych. I w kogo zazwyczaj ten palec jest wycelowany? Oczywiście, w tych „na górze”. Ułomność takiego rozumowania, nie pozbawionego przecież pewnych podstaw, polega na jednostronności.

Dlatego każdy, kto specjalizuje się w prowadzeniu „postępowania śledczego”, mającego wykryć winnych za stan Rzeczypospolitej — musi pamiętać o naszych wspólnych dziejach i uświadomić sobie, że tytuł słynnej pracy „Krok naprzód, dwa kroki w tył” jest swoistą wykładnią procesu rozwojowego, w którym człowiek stanowi siłę motoryczną. Ze swoimi możliwościami i brakami. Z przyzwyczajeniami i zaletami. Zmieniając świat na miarę swoich możliwości. Zmieniając przy tym i siebie. Raz wolniej, raz szybciej, ale ustawicznie.

Pupil czy ubogi krewny?

Jaki jest status inteligencji w Polsce? — Na ten temat padają odpowiedzi niesłychanie zróżnicowane. Jedni uważają, że jest to warstwa społeczna, wprawdzie nie najlepiej uposażona w stosunku do robotników czy chłopów, nie mówiąc już o prywatnej inicjatywie, ale za to dobrze ustosunkowana. Powołana licznymi więzami układow z ośrodkami władzy, umiejscawiona wykrzyżując dla własnych interesów. Ot, choćby problem wyższego wykształcenia: dzieci inteligentów nie korzystają z punktów preferencyjnych, od lat jednak przeważają w składzie socjalnym studentów.

Inteligenci nie są uprawnieni obecnie rozpięszceni finansowo, ale też nie są na ogół zmuszeni pracować w uciążliwych warunkach, nie narażają na szwank swego zdrowia jak wiele kategorii robotników.

Z tych i podobnych opinii można sądzić, że inteligencja w PRL jest swego rodzaju pupilem, w większości przypadków hołubionym przez władzę. Przekonanie takie w pewnym stopniu potwierdzają takie np. dane przytoczone przez Aleksandra Bocheńskiego w „Nowych Drogiach”. Otóż w 1977 r. mieszkańcy inteligencji byli przeciętnie wiekszy o 4,5 metra kwadratowego od mieszkańców robotniczych. Na 100 mieszkań inteligentów łazienki były w 75, a tylko w 45 robotniczych. Centralne ogrzewanie było zainstalowane w 65 mieszkaniach inteligentów, a tylko w 36 robotniczych.

Dane te świadczą o swego rodzaju klasowej krzywdzie robotników, co zasługiwoby na szczególnie krytyczną ocenę w ustroju, w którym stanowią oni klasę panującą. Uważam, że należy uniknąć badań takich zjawisk i prześledzić rzeczywiste przejawy lekceważenia życiowych potrzeb ludzi od fabrycznych warsztatów. Jednakże w zjawisku tym dopatruwałbym się jeszcze innej prawidłowości: sądzę, że przyczyną nowych mieszkań o wyższym komforcie dostawiali często młode małżeństwa inteligentów pierwszego pokolenia. Opuścili oni wtedy te gorsze, w których pozostawali ich rodzice, czyli małżeństwa robotnicze. Jeśli był to proces masowy, refleksje o klasowej krzywdzie należałoby nieco skorygować.

Wielu autorów bije na alarm z powodu spadku zarobków inteligentów wobec dochodów innych klas. Wspomniany już Aleksander Bocheński stwierdza, że proces ten zaczął się wyraźnie rósować od roku 1981 czyli po wielkich strajkach i przemowie sierpniowym. Klasa robotnicza wywniosła wówczas generalnie znaczne podwyżki uposażeń. Tylko częściowo skorygowała przy tym inteligencja techniczna, ale i jej zarobki spadły wobec robotników. Natomiast inteligencja humanistyczna, administracja, lekarze, nauczyciele itp. znaleźli się już wyraźnie w roli uboższego krewnego.

A inżynierowie, najbliżsi związani z procesem wytwarzania dochodu narodowego, w klasie robotniczej? — W latach pięćdziesiątych ich zarobki były dwukrotnie wyższe niż robotnicze; w sześćdziesiątych tylko półtora-krotnie, a obecnie — znacznie niższe. Tymczasem we Francji są one trzykrotnie wyższe niż robotnicze, w ZSRR od półtora do trzech, podobnie w Czechosłowacji, NRD.

Jak więc jest z tą inteligencją? — Czy należy uznać za sprawiedliwe znaczne pozostawienie jej w tyle pod względem uposażenia? Czy może obecnie, kiedy władza państwowa, a przede wszystkim partia przysila tak wielkie znaczenie do podniesienia rangi klasy robotniczej (patrz m. in. XVI Plenum KC), nie nie zmieniać w położeniu warstwy inteligentów?

Zmiany są chyba niezbędne. Przede wszystkim dlatego, że stan obecny zaczyna hamować wpływ na ambicje intelektualne społeczeństwa, a także młodych robotników i chłopów. Oni często nie chcą awansować na inteligentów, bo im się to... nie oplaca.

W środowiskach ludzi z wyższymi kwalifikacjami rodzą się nastroje frustracji i apatii społecznej. Nie dają oni z siebie państwu, gospodarce, nauce, kulturze — tyle ile by mogli dać. Pozytywna ubogich krewnych jest przeszkodą sprzeczną z założeniami marksizmu, zwłaszcza ekonomii, która zakłada wyższe wynagrodzenie za pracę bardziej złożoną. Na to pojęcie zaś składają się m. in. wyższe kwalifikacje.

Zbliżające się plenarne obrady KC PZPR, które mają być poświęcone inteligencji, z pewnością dowartościują tę warstwę społeczną. Nie tylko w jej interesie, ale także klasy robotniczej i społeczeństwa. Centralna instancja partyjna postawi jednak zapewne i nowe, wyższe wymagania inteligencji. Zobowiąże do bardziej twórczej pracy dla dobra państwa socjalistycznego. Pożądać dyplom — to za mało. Trzeba pokazać, że się potrafi!

LECH WINIARSKI

Szkola w środowisku

Agnieszka Szydłowska

Zespół Szkół Elektromechanicznych należy do największych średnich szkół zawodowych w województwie legnickim. W obrębie zespołu pięć typów szkół skupia blisko osiemset uczniów przygotowujących się do zawodu elektryka i mechanika. Możliwości kształcenia uczniów cechuje duża rozpiętość — od przysposobienia do zawodu na bazie szkoły podstawowej, do szkoły pomaturalnej. Taki profil wymaga ze strony nauczycieli dobrego przygotowania zarówno fachowego, jak i pedagogicznego.

Zagadnienia pracy dydaktycznej i wychowawczej znajdują się w centrum zainteresowań Podstawowej Organizacji Partyjnej istniejącej przy szkole. W trakcie kampanii sprawozdawczo-wyborczej w listopadzie 1983 roku podjęto uchwałę, która zobowiązuje nauczycieli — członków partii do szczególnej troski o patriotyczne wychowanie młodzieży i opieki nad organizacjami młodzieżowymi działającymi na terenie szkoły.

Na jednym z ostatnich zebrań dyskutowaliśmy, jak oceniać pracę organizacji młodzieżowych — powiedział Józef Różański — sekretarz POP. — Zarówno szereg ZHP, jak i koło ZSMP są widoczne na terenie szkoły i wysoko oceniane przez swoje władze; chodzi nam jednak o to, aby poza oceną formalną wymagać od tej młodzieży czegoś więcej. Przynależność do organizacji młodzieżowej zobowiązuje do określonej postawy i pracy nad sobą.

POP przy ZSE dąży do tego, aby młodzież przygotowująca się do wybranego zawodu, poznała wcześniej przyszłe środowisko pracy. Aby „umożliwić realizację programu nauczania w formie ściślejszego powiązania z przemysłem, jak również stworzenie odpowiedniego klimatu, do kształcenia pożądanego postaw i charakterów młodzieży i jej wychowania w poczuciu odpowiedzialności za najbliższe środowisko i losy kraju” zawarto umowę o współpracy z Zakładami Mechanicznymi „Legmet” w Legnicy.

Kształtowanie obywatelskiej postawy młodzieży jest odwiecznym problemem wychowawczym. Młodzie niechętnie nakłaniają ucha do wygłaszanych ex katedra mądrości. W ZSE członkowie partii zdają sobie sprawę z tej prawidłowości okresu dojrzewania, w której ważną rolę odgrywają subiektywne i praktyczne doświadczenia uczniów. „Chcemy — powiedziano mi — aby każdy nasz uczeń posiadał jedno drzewko w obrębie miasta. Dwieście drzewek rocznie, to nie jest dużo, ale liczymy na to, że nasza młodzież będzie przez to bardziej szanować środowisko, w którym jest częścią jej pracy”.

Szkola zachęca do wychodzenia na zewnątrz i udziału w życiu regionu. Rokrocznie uczniowie uczestniczą w olimpiadach naukowych, w ramach akcji „Lato”, biorą udział w Wakacyjnych Ochodnich Hufcach Pracy, współpracują z Centralnym Ośrodkiem Szkolenia Wojsk Łączności. Nie zabraknie także uczniów ZSE w uroczystych obchodach 40-lecia PRL i powrotu ziem zachodnich i północnych do Macierzy. Już teraz w szkole odbywa się cykl wystaw i audycji poświęconych dorobkowi czterdziestolecia, a oprócz tego pod okiem kierownika warsztatów i przy pomocy innych nauczycieli przygotowujemy jest fragment wystawy z zakresu specjalności elektronicznej i elektronicznej na wystawie dorobku szkolnictwa zawodowego. Uczniowie wezmą udział w Sztafecie Młodzieży pod hasłem „Księga Dokonań”. Opracowuje się już historię szkoły, jej osiągnięć i ludzi z nią związanych. ZSE będzie ostatnią szkołą w shtafecie i przekaze „Księgę Dokonań” wraz z meldunkami o czynach społecznych podejmowanych przez młodzież na inauguracji Wojewódzkiej Wystawy Dorobku Szkolnictwa Zawodowego, w ZSB w kwietniu tego roku.

Poszczególne członkowie 25-osobowej POP przy Zespole Szkół Elektromechanicznych wykonują wiele zadań partyjnych związanych z obchodami tej ważnej dla kraju rocznicy. Warto tu przypomnieć, że szkoła kształci uczniów już od ponad 60 lat. W tym czasie

puściło jej mury wielu absolwentów, a niektórzy z nich, jak np. obecny dyrektor szkoły, podjęli następnie w niej pracę i kontynuują tradycję zapoczątkowaną przez pierwszych pedagogów szkoły.

O poziomie nauczania najlepiej świadczyć może odsetek młodzieży — abiturientów, podejmujących dalszą naukę na wyższych uczelniach. — Wychodzimy z założenia — mówi dyrektor szkoły — że nie każdy uczeń musi mieć maturę, bo nie trzeba nikogo uszczęśliwiać na siłę.



Fot. Janusz Budnicki

Ale chyba dobrze o poziomie nauczania świadczy na przykład taki fakt, że 30 procent młodzieży w specjalności elektronicznej podejmuje studia wyższe.

Trzeba przyznać, że ZSE ma warunki bazowe do kształcenia dobrych fachowców. Szkoła jest nieomal wzorcowo wyposażona w najnowocześniejsze pomoce naukowe i to bardzo tanim kosztem — dzięki społecznej pracy nauczycieli i uczniów. Działa w niej na przykład unikalne chyba nawet w skali kraju dydaktyczne studio telewizyjne, połączone w sposób niezależny z każdym gabinetem lekcyjnym. Własny pomysł i wykonanie ograniczyły koszty tego przedsięwzięcia zaledwie do zakupu telewizorów. Aż 90 proc. pomocy naukowych do nauki przedmiotów zawodowych wykonano na miejscu w ramach prac dyplomowych. Tematy prac są ambitne, wymagają wiedzy i wysiłku. Aby zrealizować temat „Laser rubinowy” uczniowie konsultowali się nawet z Wojskową Akademią Techniczną.

Oprócz pracy dydaktycznej i wychowawczej, POP realizuje systematycznie uchwały i wytyczne wyższych instancji partyjnych. Oddział ZNP przy szkole był jednym z pierwszych w resorcie szkolnictwa zarejestrowanym przez Sąd Wojewódzki w Legnicy i skupia ponad 50-osobową grupę nauczycieli. — Od pewnego czasu nie przybywa nam członków — wielu czeka, dla innych temat jest jeszcze drażliwy. Na przynależność do związków zawodowych wpływa także sytuacja bytowa nauczycieli. Wielu sądzi, że sprawy placowe, mimo Karty Nauczyciela, nie są w należyty sposób uregulowane.

Opinia o niskich placach w szkolnictwie jest zresztą ugruntowana nie tylko w środowisku nauczycieli. Czas poświęcony szkole — to przecież nie tylko 18 godzin zajęć dydaktycznych tygodniowo. Zwalaszcza, jeżeli chce się młodzież nie tylko uczyć, ale także wychowywać i przygotować do pełnienia obywatelskich powinności.

— Mam troje dzieci w wieku szkolnym. Oboje z mężem pracujemy. Mimo to zarobki nasze nie wystarczają na podstawowe potrzeby rodziny, ponieważ wydatki wciąż rosną — w górę idą wszelkie opłaty, czynsze, ceny na żywność i artykuły przemysłowe. Mąż wziął dodatkowo pół etatu. Ale w sumie to się nie oplaca — stale jest zmęczony i jeszcze podatki przyszło mu płacić — mówi Anna P., szwaczka z „Elpo”.

Wiele rodzin znalazło się w podobnej sytuacji. Dla nich dodatkowe źródło zarobkowania jest po prostu życiową koniecznością. I wiadomo, nawet bez głębszych sondażi, że przy wciąż rosnących kosztach utrzymania coraz więcej osób będzie zmuszonych rozglądać się za dodatkowym zajęciem.

Jeden dzień w miesiącu w wydziale zatrudnienia Urzędu Wojewódzkiego w Legnicy czynny jest „zielony telefon” — punkt informacyjny o możliwościach dodatkowego zatrudnienia. W lutym przy aparacie dyżuruwała dyrektor Pietruszewska. Odebrała cztery telefony. Dzwonił jeden emeryt, jedna kobieta na urlopie wychowawczym i dwie osoby pracujące.

Ze szczybla wojewódzkiego sytuacja wygląda tak: nie ma ani zbyt wielu chętnych do zarobkowania po godzinach, ani zbyt wielu ofert. Zakłady wciąż wolą zatrudniać w pełnym wymiarze. O pół etatu najczęściej dopytują się ci, którym najtrudniej — renciści i emeryci. Wielu z nich po prostu zrezygnowało na razie ze swoich uprawnień i powró-

zaradczych miało być powołanie zespołów gospodarczych. Chodziło o to, żeby zorganizować grupę chętnych do pracy (szycia spodni) w tych dniach, gdy fabryka nie pracuje, a więc praktycznie na brak chętnych.

— Daliśmy również szansę administracji — mówi Jan Niemiec, dyrektor d/s ekonomicznych. — W zeszłym roku kilka osób z biura próbowało swoich sił w produkcji, obecnie zainteresowanie nie to upadło, chociaż za soboty płacimy podwójnie. Z tym, że sprawa jest tak prosta jakby się mogło wydawać. Nasza produkcja jest w całości zorientowana i jeżeli ktoś nie ma wprawy to niewiele zarobi.

W „Milanie” nie ma ani jednej osoby, dla której praca w tym przedsiębiorstwie byłaby „drugą pracą”.

— Nasze pracownice zawsze mogą sobie dorobić u nas zostając po godzinach. Nie ma problemu, na dzień zmiany zawsze są wolne maszyny — informuje Marianna Buczak, dyrektor d/s ekonomicznych. — Z tym, niewiele kobiet korzysta z tych możliwości, bo to się wiąże ze sprawą organizacji domu, zapewnieniem opieki nad dziećmi. Dodatkowe zatrudnienie ma u nas znaleźć również osoba z zewnątrz, ale interesują nas tylko silny kwalifikacje, bo bawie się w naukę zawodu, nie ma możliwości.

A jak jest w Głogowie? W Głogowie więcej chętnych do pracy niż ofert.

Druga praca = druga płaca

Maria Kuncaitis

cilo do zakładów, dokładnie — 5700 osób w całym województwie.

Oferty Wojewódzkiej Młodzieżowej Spółdzielni Pracy idą jak woda. W wydziale zatrudnienia Urzędu Miejskiego w Lubinie 10 skierowań do prac chałupniczych rozchwytano w ciągu kilku godzin. Zresztą nie ma w czym przebiegać. Oferty nie leżą. Bierze się więc albo chałupnictwo, albo sprzątanie. A już o tym, żeby po południu dorobić sobie jakąś pracę biurową nie ma co marzyć.

W Lubinie urzędników jest dość — tłumaczy Olga Andrzejczyk, kierowniczka wydziału zatrudnienia i spraw społecznych — stąd brak propozycji ze strony zakładów i urzędów. Na stanowiska nierobotnicze, oczywiście mam na myśli niepełny wymiar godzin, większość szans mają mężczyźni. W tym roku np. wydaliśmy kilka skierowań dla inspektorów nadzoru w budownictwie. W miesiącu zgłasza się do nas 10—15 osób zainteresowanych dorabianiem po godzinach. Najczęściej pytają o pół etatu dla konserwatora. Wszystkim staramy się pomóc choć nie jest to łatwe — dzwoniśmy do zakładów, dopytujemy się o wolne miejsca. W tym roku do „drugiej pracy” skierowaliśmy już 21 osób (na stanowiska: kierownika, konserwatora, porządkowca itp.), do prac chałupniczych najwięcej, bo 25 i 14 skierowań wydano dla rencistów i emerytów.

Lubińskie przedsiębiorstwa nie mogą uskarżać się na nadmiar rąk do pracy. Największe braki kadrowe odczuwają przedsiębiorstwa budowlane, LPK, Centralna Ciepłownia, Zakład Energetyki Ciepłej. W wydziale zatrudnienia leży 1200 ofert, dla chętnych podjęcia pracy na pełnym etacie. Podobnie jest w Legnicy, tu aż ponad 3 tys. miejsc czeka na pełnoetatowych pracowników.

Zainteresowanie dodatkową pracą jest niezbyt duże, ale jest — mówi Anna Trzmiel, zastępca kierownika wydziału zatrudnienia. — Większość „rozgląda się” poszukując odpowiednich ofert. W lutym wydaliśmy 18 skierowań do „drugiej pracy”, przeważnie na kolei i do Wojewódzkiego Związku Spółek Wodnych. Jednak większość zakładów wciąż niechętnie przyjmuje pracowników na niepełny wymiar godzin. Jeżeli chodzi o rencistów i emerytów, ci zwykle szukają możliwości dorobienia w swoich macierzystych zakładach.

Najwięcej „połówek” oferuje „Elpo”. W lutym było 20 wolnych miejsc dla szwaczek na pół etatu. Zgłosiło się 16. Nie rozwiązuje to jednak problemu. W ciągu ostatnich kilku lat załoga przedsiębiorstwa stopniała o połowę. Przyczyny — takie same, co i w innych zakładach: wcześniejsze emerytury, renty, urlopy wychowawcze. W „Elpo” różniano już różne osoby, zatrudnienia, braków kadrowych. Jednym z problemów

W lutym wyraźnie ożywiło się zainteresowanie dodatkowym zatrudnieniem — mówi Andrzej Sliwak, kierownik obrotu wydziału zatrudnienia i spraw społecznych Urzędu Miejskiego w Głogowie. — W ciągu tygodnia 5—6 mężczyzn pła o pół etatu. Zwykle zależy im o pracę w godzinach popołudniowych, szczyt zakłady jeżeli już zgłaszają „połówek” to zwykle chcą zatrudniać do południa. W sumie tych ofert pracy w niepełnym wymiarze mamy niewiele, nie ma w czym wybierać. Mimo to w tym roku wydaliśmy już 42 skierowania dla tych, którzy podjęli się dodatkowego zajęcia. W tej chwili mamy tylko zapotrzebowanie z PKS na kierowców i mechaników. Gotowi są przyjąć każdą ilość chętnych i w takim wymiarze czasu, jaki będzie pracownikowi odpowiadał. Ale większość pyta o „fuchy” (interesanci zwykle tak to określają) konserwatorów.

A co dla kobiet? Okazuje się, że praca nakładczą — nie, żadnych innych ofert zatrudnienia nie ma. Biorąc uwagę z jednej strony ożywione zainteresowanie pracą dodatkową (także kobiet korzystających z urlopowych wstawczych) i z drugiej — brak odpowiednich ofert ze strony zakładów, wydział zatrudnienia wystąpił do poszczególnych dyrekcji wrecz z żądaniem wskazania u siebie stanowisk, które wymagają pełnoetatowej obsady. Dlatego zakłady niechętnie angażują pracowników na niepełny wymiar godzin.

Z wygodnictwa — odpowiada na pytanie Andrzej Sliwak. — Bo prace drugiej zmiany, a o taką zwykle dochodzi, trzeba zorganizować, a ktoś tych ludzi musi dopilnować. Zawsze to kłopot. Postawiliśmy sobie, że skoro narzekacie, że nie macie czasu to trzeba przyjmować tych, którzy chcą pracować po południu i dla nich organizować drugą zmianę. Może to jest właśnie wyjście? W każdym razie próbować. W tej chwili w Głogowie jest taka sytuacja, że po godzinie piętnastu życie produkcyjne w mieście pamięta.

W ubiegłym roku „drugą pracę” pośrednictwem wydziału zatrudnienia Głogowie podjęło 80 osób. Natomiast w ciągu dwóch miesięcy tego roku już 40. W Lubinie to samo: 30 w roku ub. i 18 w bieżącym. Wniosek jest oczywisty — zainteresowanych dodatkowym zajęciem jest coraz więcej z czystej konieczności.

„Druga praca” nie jest zjawiskiem masowym i być nie może. W każdym razie nie tędy droga do rozwiązania problemu zatrudnienia w skali kraju województwa. Co najwyżej może to sposób na podreperowanie budżetów rodzin, które znalazły się w patach finansowych. A zadaniem administracji odpowiedzialnej za politykę zatrudnienia jest po prostu stworzenie tych możliwości.

Odro, Odro - rzeko modra...

Janusz Dobrzański

Niestety, Odra, jedna z największych polskich rzek, już dawno przestała być modra. Przypomina raczej wielki rynsztok. Latem, przy sprzyjającej pogodzie, fetor bijący od rzeki czuć z odległości kilku kilometrów. Wędkarzy, którzy jeszcze (!) łowią w jej wodach można bez ryzyka nazwać prawdziwymi sportowcami. Bo w ich hobby nie ma nic z merkantylności. Ryba złowiona w Odrze jest ostatnią rzeczą, którą można wykorzystać jako surowiec kulinarny — po prostu śmierdzi.

Fetor, jakim zalatują ryby, jest jednak tylko zewnętrznym objawem totalnego zanieczyszczenia rzeki. Jakże to smutny zawiera ich mięso mogłoby powieścić toksykolog. Woda w Odrze zawiera mnóstwo szkodliwych i trujących substancji: chloru, siarczki, fenole, miedź, ołów, rtęć, nikiel, cynk, kadm — i wszystkiego w każdym litrze za dużo. Bez skomplikowanych i drogich systemów uzdatniania nie nadaje się praktycznie do niczego.

W ostatnich trzech latach jakość wody w Odrze znacznie się pogorszyła. Jeśli poprzednio poziom zawartości chloru w układzie się w granicach od 100 do 200 mg w litrze czyli mieścił się w granicach II klasy czystości wód, to obecnie sięga nawet 560 mg! Woda w Odrze spadała więc poniżej ostatniego szczebla klasyfikacyjnej drabinki. I tu — o ironio — niszczycielskiemu dziełu człowieka dopomógł sam... przyroda. W latach 1982—84 wskutek słabych opadów poziom wód gruntowych w całym kraju obniżył się o około 30 procent od najniższej średniej wieloletniej. Logiczną konsekwencją obniżenia się poziomu wód jest większe stężenie zanieczyszczeń w określonej objętości. No i wody Odry są takie jakże są. Brudne, cuchnące, trujące. Zamiera w nich tylko życie biologiczne, ale są one w stanie „zjeść” urządzenia techniczne z najsłabszymi częściami gatunków stali. Gdyby na przykład ciepłownicz z Głogowa chcieli używać niezdatnionej wody z Odry to aby bezawaryjnie ogrzewać miasto musieliby dysponować przynajmniej dwiema zapasowymi ciepłowniami. Dysponują na szczęście stacjami demineralizacji, które niestety nie zostały jednak przystosowane — ktoś mógł to przewidzieć — do obecnego stanu zanieczyszczenia wody. I pracują na ostatnim oddechu, zdzierając się kłopoty z ogrzewaniem miasta. No cóż, zima w tym roku jest wyjątkowo surowa. Ale czy zawiła zima?

Zawiniła generalna polityka w dziedzinie ekologii. Do naturalnych cieków płyną ścieki przemysłowe i komunalne, zanieczyszczają je rolnictwo uprawiające chemizację, pozostawiają praktycznie poza wszelką kontrolą. A Odra? Cóż, Odra opuszczająca granicę Legnicko-Głogowskiego Okręgu Miedziowego zabiera z sobą dodatkowy ładunek zanieczyszczeń, chociaż wkraczając na terytorium już jest cuchnącym ściekiem. Największy udział w jej zatruciwaniu mają — jak wyczytałem w periodyku „Aura” — zakłady przemysłowe i kopalnie Górnego Śląska, które zrzucają ścieki bez żadnych ograniczeń i poza wszelką kontrolą. Jaki udział w zanieczyszczeniu rzeki ma łomowska aglomeracja?

Z pewnością niemały. W regionie nie została się ani jedna rzeka z I klasą czystości wód, przeważają wody klasy II, III i poza wszelką klasyfikacją. Wszystkie spływają do Odry. Tylko jedno miasto — Lubin — ma poprawnie funkcjonującą oczyszczalnię ścieków. Pozostałe praktycznie nie posiadają żadnych urządzeń, nie wspominając już o osiedlach wiejskich i przemysle.

LGOM należy do tych aglomeracji w kraju, gdzie od kilku lat przykładą się ogromną wagę do ochrony naturalnego środowiska. Wieloletnie zaniedbania w tej dziedzinie i ograniczone możliwości sprawiają jednak, iż w polityce ekologicznej trzeba częstokroć wybierać pomiędzy większym i mniejszym złem. Stąd też zadaniem pierwszoplanowym stała się ochrona czystości powietrza. Ochrona czystości wód służy rzeczy zeszła na drugorzędna pozycję. Mimo wszystko z wodą do celów spożywczych

i przemysłowych nie ma jeszcze większych problemów (takie miasta jak Lubin czy Głogów korzystają z sieci podziemnych ujęć i mają czystą wodę), chociaż kłopoty rysują się w nie tak znów odległej perspektywie. Kłopoty może nie ilościowe, bo buduje się „wielką wodę dla LGOM”, ale jakościowe — bo popłynę ona z powierzchniowego ujęcia. Hydrologi już dziś są zdania, że nie będzie to woda przedniej marki. Niewiele można na to poradzić, poza budową stacji uzdatniania — region będzie musiał wziąć to, co dostanie. Solidnie zanieczyszczone przez sąsiadów. Czysta woda będzie droga.

Jaką wodę miedziowy region „podsyła” swoim sąsiadom na północy? Nie tak rzadko słyszy się opinie, że do zanieczyszczenia Odry toksycznymi substancjami wydatnie przyczynia się przemysł miedziowy. Niedawno obita mi się o uszy informacja jakoby obecne kłopoty głogowskich ciepłowni z przechlorowaną ponad wszelką miarę wodą, były spowodowane zrzutami zasolonych wód kopalnianych. W opiniach tych jest niewiele prawdy. Bez obaw można zaryzykować tezę, że w dziedzinie ochrony wód powierzchniowych Kombinat Górniczo-Hutniczy Miedzi może służyć za wzór, mający niewiele odpowiedników w kraju. Jeżeli swego czasu stawiano kombinatowi zarzuty dość frywolnego stosunku do ochrony powietrza czyniono słusznie. Owczy pęd do podnoszenia produkcji miedzi za wszelką cenę, zmuszał do zaniedbań w budowie instalacji ochronnych, drogich, skomplikowanych i pracochłonnych w procesie inwestycyjnym. Środowisko zapłaciło za to wysoką cenę.

Z wodą było inaczej. Już w latach siedemdziesiątych zbudowano doskonałe przemysłowe „systemy zagospodarowania zmineralizowanych wód kopalnianych i ochrony rzek przed zasoleniem na terenie LGOM”. Rozwiązanie ma raczej unikalny charakter, warto więc choćby pobieżnie się z nim zapoznać.

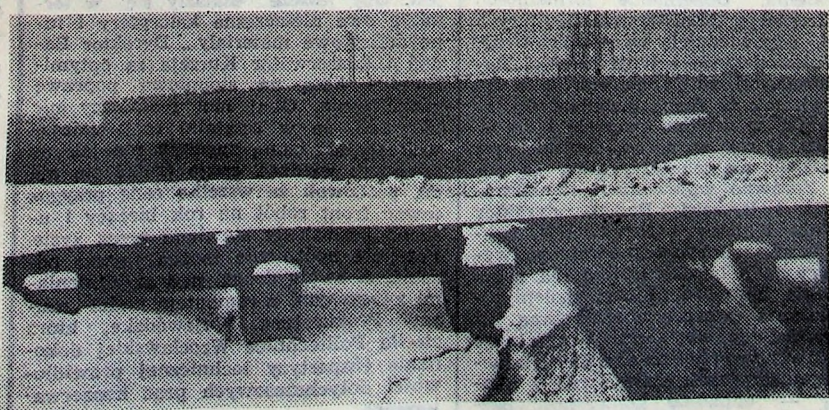
O tym, że w kopalniach glebinowych występuje woda wie każdy. To, że trzeba ją systematycznie wypompowywać na powierzchnię jest też oczywiste. Problem zaczyna się na etapie zważenia ilości i jakości. W warunkach kopalni miedzi LGOM wchodzi w grę tysiące metrów sześciennych wody na dobę, zanieczyszczonej licznymi minerałami. Przykładem chemicznej aktywności tej wody może być fakt, że kawałek szlachetnej stali pozostawiony w kopalniowej atmosferze bez żadnej ochrony już po kilkunastu godzinach pokrywa się rdzą. Pytanie: czy taką wodę można zrzucić do najbliższej rzeki? Oczywiście nie. Bo prawdopodobnie po niewiele lu miesiącach, a może nawet tygodniach zamieniłaby się ona w pozabawiony wszelkiego życia biologicznego ściek. Co zatem robić, magazynować „zrzucić” porcjami, a może budować zakłady odsalania?

Otóż w KGHM rozwiązano ten problem tworząc prawie zamknięty system obiegu wód kopalnianych. Gdyż każde inne rozwiązanie miałooby w praktyce niewielkie szanse powodzenia w dziedzinie skuteczności i ekonomiczności. System stanowi pewien rodzaj naczyń połączonych, do którego włączone są wszystkie zakłady górnicze. Jego początkiem są wyloty rurociągów stacji pomp głównego odwadniania kopalni,

zaś końcem wylot rury nad brzegiem Odry w Głogowie. Ale ta rura rzadko kiedy wypływa z siebie wodę i w porcjach nieproporcjonalnie mniejszych w stosunku do obfitości źródła. Jak to się dzieje? Otóż wody kopalniane zaprzęga się do pracy w charakterze jednego z podstawowych składników w procesie technologicznym wzbogacania rudy. Woda wprost z czeluści kopalni kierowana jest do zakładów przetwórczych, skąd wymieszana z odpadami poftłocajnymi spływa rurociągami do stawu osadowego „Żelazny Most”. Odpady osiadają na dnie zbiornika część wody wyparowuje. I tylko jej niewielki procent spływa do Odry. Pozwolenie wodno-prawne, jakie uzyskał KGHM zezwala na odprowadzenie do rzeki 90 metrów sześciennych na minutę. Ale to tylko teoria. W rzeczywistości przepustowość rurociągu wynosi tylko 70 metrów. Zaś w praktyce nie wykorzystuje się nawet tego. Od grudnia ubiegłego roku — jak twierdzi dr inż. Stanisław Downorowicz, główny inżynier hydrogeolog KGHM — „zrzuty są symboliczne, a i to dokonywane z konieczności, aby uniknąć zamarznięcia instalacji”. I można mu wierzyć na słowo. Rzeczywiście tak jest. Bo z rurociągu zrzutowego nie może spłynąć ani jeden metr sześcienny wody, o którym by nie wiadziło. I który nie zostałby zarejestrowany.

A zrzucić też nie można kiedy się chce. Pozwolenie wydane przez wojewodę legnickiego uzależnia ilość odprowadzanych wód od stanu wody w rzece, wielkości jej przepływu i poziomu zasolenia. Chcieć lub nie chcieć nie zależy od woli człowieka dzierżącego zawór zamykający rurociąg — zależy od automatów. W 1983 roku Zakład Doświadczalny „Cuprum” skonstruował specjalną prototypową aparaturę do ciągłej rejestracji i sterowania rzutem wód. Jest to automatyczna stacja mierząca stopień zanieczyszczenia wody w rzece samoczynnie otwierająca zawór na rurociągu. Nie można jej wyłączyć i przejść chwilowo na ręczne sterowanie, aby wypuścić parę litrów poza wszelką kontrolę. Taki fakt jest natychmiast rejestrowany i „kant” nie ma najmniejszych szans powodzenia. Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej oraz Instytut Kształtowania Środowiska z Wrocławia — które sprawują nadzór nad gospodarką wodną — nie należą do liberalnych instytucji. I w przypadkach łamania postanowień pozwolenia wodno-prawnego naliczają drakońskie kary. Płaci się haracz za każdy metr sześcienny zrzutu, ale nie ten faktyczny metr tylko metr obliczony. Jeżeli przestępstwo zostało dokonane dzisiaj, a poprzednią kontrolę przeprowadzono np. przed dwoma miesiącami, to karę nalicza się tak jakby niekontrolowany zrzut trwał nieprzerwanie od dwóch miesięcy. Taki sposób obliczania kar skutecznie odstrasza — nawet bajecznie bogaty Kombinat.

Kombinat woli jednak wydawać pieniądze na udoskonalanie systemu. Automatyczną stacją pomiarową wyposażoną w wkrótce w mikrokomputer. Urządzenie uzyska więc najbardziej wysublimowaną formę skrojoną na miarę wieku elektroniki. Tylko czy Odra będzie mniej zanieczyszczona? Raczej nie, bo nie zależy to wyłącznie od kombinatu.



Fot. Janusz Budnicki

Z innych łamów

Dr Franciszek Januszkiewicz w „Dzienniku Polskim” nr 40/85:

„U nas praktycznie, poza niewielkimi wyjątkami, nie można skończyć studiów inaczej jak tylko obowiązkowo zostając magistrem. Twierdzą, że utrzymywanie takiego jednolitego typu wykształcenia jest anachronizmem edukacyjnym i ekonomicznym. Taki typ kształcenia jest bowiem bardzo kosztowny a zarazem zdecydowanie wykracza i poza potrzeby społeczno-gospodarcze, i poza intelektualne możliwości kształconych. Wiadomo wszak, że część nawet dobrych studentów nie ma wyobraźni teoretycznej, nie umie myśleć w kategoriach teoretycznych — nie jest zatem w stanie napisać magisterium na godziwym poziomie. Może jednakże i to z dobrymi efektami skończyć studia zawodowe. Dlatego też od lat występuję z koncepcją różnicowania wyższego wykształcenia. Pierwszy typ — teoretyczny, czyli obecnie magisterski; na takich studiach winno się kształcić około 40 proc. studiujących. Drugi — podstawowy, bo obejmujący około 50 proc. kształconych to winny być studia zawodowe, trwające 3—3,5 roku. Na przykład inżynierów w Wielkiej Brytanii kształci się 3 lata, a u nas 5 i to wszystkich. Czy na przykład każdy główny księgowy musi być magistrem ekonomii? Przecież to jest edukacyjna paranoja! Trzeci typ — zupełnie w Polsce nie istniejący — studia naukowe, które kończyłby się doktoratem. Trwać winny około 7 lat i obejmować 3 proc. studiujących. Takie studia naukowe winny być oparte na znakomitych podstawach metodologicznych, prowadzone wyłącznie indywidualnie i to przez najlepszych profesorów. I wreszcie 4 typ, najbardziej kontrowersyjny, studia typu college. Wyobraźmy sobie na przykładzie Uniwersytetu Jagiellońskiego — miejmy nadzieję, że rektor Gierowski kiedy to przeczyta nie dostanie zawatu — taki dyplom „Uniwersytet Jagielloński — 2-letnie studium wychowania przedszkolnego”. Naturalnie studium takie musi być nastawione głównie na nauczanie praktyczne”.

„Przegląd Sportowy” nr 20/85:

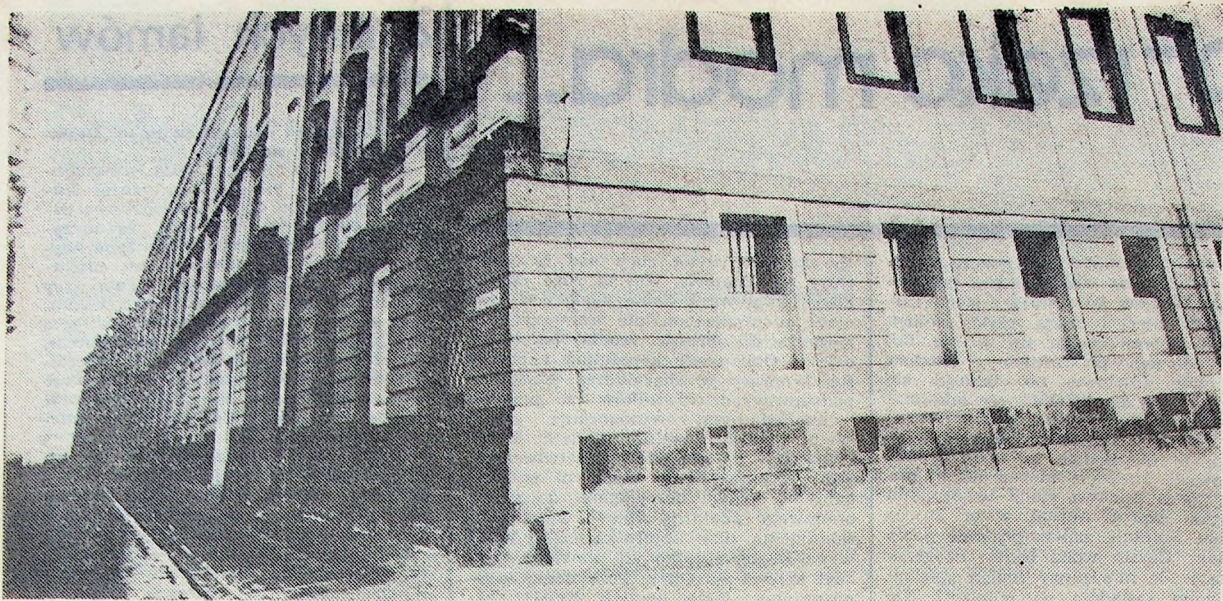
„Biuro Polityczne KC BPK podjęło decyzję, zmierzającą do podniesienia poziomu bułgarskiej piłki nożnej. W opublikowanym dokumencie zwraca uwagę na zapowiedź wprowadzenia w Bułgarii piłkarstwa zawodowego. 1 lipca br. wszyscy piłkarze pierwszej i drugiej ligi mają być zwolnieni z wojskowych i resortowych etatów i wynagradzani wg. jednolitej siatki płac. Zagwarantowana zostanie opieka nad zawodnikami kończącymi karierę sportową. Podstawą organizacyjną bułgarskiego piłkarstwa pozostają kluby w ujęciu terytorialnym, z wyjątkiem niektórych klubów resortowych.

W celu stworzenia warunków do masowego uprawiania tej dyscypliny sportowej opracowuje się program nauczania piłki nożnej w szkołach podstawowych, średnich i wyższych oraz program masowego uprawiania piłkarstwa w zakładach pracy. Przygotowuje się plan kształcenia kadry trenerskiej, utworzona zostanie wyższa szkoła piłki nożnej (studium podyplomowe). Zapowiada się weryfikację kadry działaczy, mającą na celu uzdrowienie atmosfery w bułgarskiej piłce nożnej”.

Jerzy Sawicki w wywiadzie dla „Gazety Krakowskiej” nr 39/85:

— „Otrzymuję pan podobno dziesiątki listów z zapytaniem co dalej z popularnym serialem telewizyjnym „Dom”, którego jest pan współautorem z Andrzejem Mularczykiem. Zapowiadanych było 21 odcinków, a raptem obejrzelismy tylko 7. — Niestety, ale nad tym filmem krąży jakieś fatum. Po prostu nie możemy go do tej pory skończyć. Zdaliśmy nakręcić jeszcze 4 nowe odcinki, choć nadal istnieje przy ul. Panskiej w Warszawie, która udaje Złotą, dom oddany nam przed paru laty przez prezydenta stolicy, na potrzeby filmu. Według scenariusza serialu i planów urbanistycznych Warszawy dom ten ma być wysadzony w powietrze. Niestety w tym powietrzu nadal tkwi niewiadoma: (kiedy?).

Zabrakło też głównego bohatera filmu, krakowskiego aktora — pana Borkowskiego. Wyjechał za granicę i nie powraca. Postanowiliśmy więc zaprosić telewizję czy nie przeszkodzi im zamiana aktorów. Jeśli odpowiedź będzie pozytywna, to prawdopodobnie przystąpimy do realizacji kolejnych odcinków”.



Gra o dużą stawkę

Agnieszka Szydłowska

„Jak na razie, na pierwszym i drugim piętrze Akademii Rycerskiej króluje grzyb” — taką smętną konkluzję zakończyłam napisany przed rokiem artykuł o trudnościach związanych z rekonstrukcją jednego z najcenniejszych zabytków architektonicznych Legnicy. Co zmieniło się w tej sprawie w ciągu roku? Na to pytanie nie sposób odpowiedzieć w sposób jednoznaczny. Jeżeli napiszę, że akademię nadal zjada grzyb, będzie to prawda. Jeżeli dodam, że postęp robót konserwatorskich jest minimalny, to też będzie prawda. Tylko, że nie jest to cała prawda.

NIE ZREALIZOWANE PLANY

„Grozi zawaleniem helm wieży klatki schodowej, wymaga natychmiastowego pokrycia dach, w 1979 roku tylko połatany i zabezpieczony jako tako” — pisałam przed rokiem. Te prace miały być wykonane w roku ubiegłym. W 1984 r. na remont planowano okraść sumę dwudziestu milionów złotych. Nie było to dużo, zważywszy ogrom pozostałej do wykonania pracy — a jednak suma okazała się za duża. Wykorzystano zaledwie dziewięć milionów złotych i w dodatku głównie na zakup materiałów na pokrycie dachu. Postęp prac konserwatorskich ograniczył się do remontu dalszej części parteru. Remontu, który też nie został ukończony, bo zabrakło — bagatela, trzystu grzejników. Zdzisław Kurzeja, wojewódzki konserwator zabytków, nie kryje rozgoryczenia. Kaloryfery — to bariera niemożliwa do przeskokowania. Nawet dla wojewody. O rozdziale cennych materiałów budowlanych decyduje minister. Deficytowe kaloryfery przeznaczane są głównie na potrzeby budownictwa mieszkaniowego. Trudno nie uznać tych priorytetów w sytuacji, gdy tysiące ludzi czeka latami na klucze do własnego mieszkania. Tak więc parter Akademii Rycerskiej jest wyremontowany i nie jest — przed uruchomieniem centralnego ogrzewania nie można kłaść parkietów i malować, bo byłoby to wyrzucenie pieniędzy. Wykonawcy tej części robót — rzemieślnicy ze spółdzielni „Wielobranzowej”, mogą się nie spieszyć i nie martwić o przyobiecane terminy.

Najgorzej wygląda Akademia Rycerska od strony dziedzińca. Elewacji zewnętrznych jeszcze nie odnowiono, szyby pierwszego i drugiego piętra często gęsto powybijane, przynębiające obrazu dopełniają poniewierające się resztki sprzętu medycznego z niedawnych czasów, kiedy w murach Akademii mieścił się magazyn Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego. Kto i dlaczego powybił szyby w oknach, nie wiadomo. Nie schwymano też wandalów ogalających wyższe kondygnacje nawet z... drzewce przy stylowych kominkach. Dewastacja resztek świet-

ności Akademii spowodowała nawet alarmujący list wojewódzkiego konserwatora zabytków do prezydenta Legnicy w sierpniu ubiegłego roku:

„W związku z przeprowadzoną w dniu dzisiejszym inspekcją wewnątrz Akademii Rycerskiej w Legnicy uprzedzam informację, iż obiekt pozbawiony jest opieki, a w poszczególnych pomieszczeniach demontowane są podłogi, boazerie, drzwi, dzwiczki kominowe, rozkradane są także barokowe okucia stolarki drzwiowej. Ponadto informuję, iż ścian osłonowe wieży klatki schodowej grożą katastrofą budowlaną, co oprócz strat w wyposażeniu byłej Sali Królewskiej zagraża życiu pracowników LCK i wykonawcom robót a za obiekt odpowiedzialnych. Wydane przez państwowy nadzór budowlany zarządzenia w tej sprawie w styczniu 1983 roku nie są do chwili obecnej respektowane

REALNE, CZY NIEMOŻLIWE?

Dach Akademii Rycerskiej będzie pokryty blachą miedzianą — główna część materiałów na ten cel została już zakupiona. Dach zostanie pokryty, o ile oczywiście znajdzie się wykonawca. Wykonawca generalny dalszej części Akademii — to główny problem, o którym mówili rok temu wszyscy zainteresowani. Przypomnijmy, że ani Przedsiębiorstwo Konserwacji Zabytków, ani żadna ze spółdzielni rzemieślniczych nie chciały się z różnych powodów podjąć tego zadania: PKZ ze względu na wcześniejsze umowy i zobowiązania, spółdzielnie rzemieślnicze ze względu na stopień trudności robót budowlanych, wymagających ścisłego przestrzegania wskazań i wymogów konserwatorskich. Zdzisław Kurzeja nie traci jednak nadziei, że znajdzie się przedsiębiorstwo zdolne podjąć się generalnego nadzoru nad pracami remontowo-konserwatorskimi. I rzeczywiście — trafiła się polonijno-zagraniczna firma „Arpex”, która ofertę wraz z harmonogramem prac zgłosiła wojewodzie legnickiemu. Dopelnienie formalności, tj. akceptacja Ministerstwa Kultury i Sztuki, odpowiednich wydziałów Urzędu Wojewódzkiego i Wojewódzkiej Rady Narodowej zbliża się nareszcie ku końcowi, tak że firma przystąpi do remontu już w drugim kwartale bieżącego roku. O rok za późno, chciałoby się powiedzieć, ale niestety, takie są realia... Zarówno wojewódzki konserwator, jak i Ryszard Badoń, dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki UW, oceniają szansę zdobycia generalnego wykonawcy jako bardzo istotną dla przyspieszenia remontu. Firma polonijno-zagraniczna (nosząca obecnie inną już nazwę) pełniąca obowiązki generalnego wykonawcy, wyeliminuje wiele trudności organizacyjnych związanych z akademią — odpadnie konieczność bezustannego „dogadywania się” a liczny-

mi inwestorami zastępczymi i podwykonawcami poszczególnych fragmentów robót.

W ostatnim roku Pracownia Konserwacji Zabytków oddała projekt rekonstrukcji Sali Królewskiej, Auli Johanneum i głównej klatki schodowej. Pozostałe projekty techniczne opracuje generalny wykonawca zgodnie z harmonogramem, natomiast prace konserwatorskie rozpocznie się od remontu i pokrycia dachu i helmu wieży klatki schodowej. Termin ukończenia remontu całej Akademii — rok 1990. Tak przynajmniej stanowi „Program rozwoju kultury w województwie legnickim do roku 1990”, uchwalony przez WRN w listopadzie ubiegłego roku. Program określa także przeznaczenie obiektu: na parterze LCK, na pierwszym piętrze — Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna, na drugim piętrze — szkoła muzyczna. Złazka ta ostatnia placówka, borykająca się z ogromnymi trudnościami lokalowymi, czeka na remont Akademii jak na zbawienie. W „Programie” znajduje się o tym stosowna wzmianka: „W zakresie rozwoju sieci i bazy szkolnictwa artystycznego zakłada się:

— przystosowanie pomieszczeń Akademii Rycerskiej w Legnicy dla potrzeb PSM I i II stopnia w Legnicy, do 1990 roku, z przeznaczeniem docelowym na Liceum Muzyczne”.

A swoją drogą planować to ho ho! potrafimy i jeszcze jak — gorzej znacznie bywa z dotrzymaniem terminów. Sceptycyzm i niewiara są o tyle uzasadnione, że — nawet skromne ubiegłoroczne plany nie zostały zrealizowane. I chociaż można ich flako sprawiedliwie widzieć „trudności obiektywne”, to wcale nie stanowi to dobrej prognozy na przyszłość. Koszt remontu całego obiektu szacowano w roku ubiegłym na miliard złotych. Akademia pochłonie jeszcze masę pieniędzy, materiałów budowlanych i pracy ludzkiej. Pieniądze znajdują się z dotacji ministerialnych, wykonawcą prawie jest. Oby jeszcze znalazły się w terminie owe nieszczerne kaloryfery i inne deficytowe materiały... Dyrektor Badoń i konserwator Kurzeja są optymistami i liczą na stopniową poprawę zaopatrzenia. Obaj moi rozmówcy nie ukrywali, że w ostatnim roku zajmowali się akademią zupełnie nie jak urzędnicy: wiedząc, czego zrobić się nie da, próbowali za wszelką cenę przyspieszyć front robót na rok bieżący i usunąć przeszkody stawiane przez życie. Powstałe opóźnienie można jeszcze odrobić. A swoją drogą, nad zagadnieniem związanym z remontem nadal „czuwa” Prokuratura Wojewódzka, która zleciła Politechnice Wrocławskiej dokonanie ekspertyzy technicznej prawidłowości dotychczasowych prac konserwatorskich...

Listy

Nie zapominaj o kolejarzach

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem egzemplarz „Życia Legnickiego” wydany z okazji 40-lecia wyzwolenia Legnicy, ponieważ jestem świadkiem tych wszystkich przemian i osiągnięć, które miały miejsce w tym okresie.

W bieżącym roku również ja w dniu 3 sierpnia obchodził będę 40 rocznicę przyjazdu i pracy w Legnicy, nie bez satysfakcji zresztą, bo już drugie moje pokolenie rodzi się i wyrasta w tym mieście.

Nie chciałbym umniejszać znaczenia wysiłku i wkładu pracy ludzi, którzy uruchamiali zakłady pracy i instytucje, to jednak uważam, że należało wspomnieć i miłe słowa w „Życiu Legnickim” o wprost bohaterkiej pracy pewnej grupy ludzi, tj. legnickich kolejarzy, którzy w bardzo trudnych warunkach organizowali transport kolejowy i przyjmowali pierwsze transporty.

Byłem wśród nich i ja, gdzie wspólnie z moimi 20-letnimi kolegami, pod nadzorem doświadczonych kolejarzy „z Buga” tj. ze Lwowa i Wilna, po kilku dniach praktyki, przejeżdżaliśmy Legnicki Węzeł PKP od obsługi wojsk radzieckich.

Dzień ten, tj. 20 sierpnia 1945 roku, został uwieczniony tablicą pamiątkową umieszczoną na frontowej ścianie legnickiego dworca PKP.

Trzon kadry kolejarskiej stanowili doświadczeni kolejarze ze Lwowa i Wilna, jednakże wielu młodych ludzi z woj. centralnych (ja z woj. kieleckiego) podjęło pracę na PKP i mimo różnych akcentów szybko znaleźli wspólny język i wspólny cel, tj. bezpieczeństwo i sprawną przejazd pierwszych transportów organizującego się transportu kolejowego Ruch pociągów był duży. Transporty wojskowe powracające z frontu, pociągi wiozące repatriantów ze wschodu i zachodu oraz pierwsze transporty z dostawą węgla, towarów i żywności dla mieszkańców i zakładów pracy.

Warunki pracy w służbie ruchu, obsługującej węzeł PKP w Legnicy były uprost prymitywne. Podstawowym narzędziem motorniczego była karbidowa latarka i korbka od pedału rowerowego, przy pomocy której kręcąc resztki urządzeń elektrycznych układano się drogę przejazdu dla przejeżdżającego lub wyjeżdżającego pociągu. Wazniejsze rozkazy zamykane były przy pomocy „skobla” i zwykłej kłódki.

Sprawni i bezpieczni przejazd pociągów zależny był tylko od sumiennej i uczciwej pracy bardzo młodej i niedoświadczonej służby ruchu. Szczególnie bardzo uciążliwe były noce z uwagi na brak dostatecznego oświetlenia elektrycznego. Podstawowym oświetleniem urządzeń zabezpieczających, tj. zwrotnic i semaforów oraz tarcz ostrzegawczych, były naftowe „kopciuchy”, które regularnie gościł kilkakrotnie w ciągu nocy.

Pomimo tak prymitywnych warunków, pociągi kursowały coraz punktualniej, a wypadków było bardzo mało.

Warto przypomnieć, że wynagrodzenie dla pracowników nowo wstępujących na PKP wynosiło zaliczkowo „300” zł. Oddelegowani z dyktacji centralnych otrzymywali jeszcze dodatek delegacyjny.

Poddaję pod rozważenie redakcji „Życia Legnickiego” czy nie warto by było dotrzeć do „miejscowych” jeszcze żyjących pracowników z tego okresu, którzy niewątpliwie mają wiele wspomnień na temat organizującego się kolejnictwa na ziemiach odzyskanych.

A może kierownictwo Legnickiego Węzła PKP — urzędujący spotkanie z byłymi „pionierami” z roku 1945, co byłoby bardzo miłym gestem wobec tych osób.

Obawiam się, że na najbliższy „Jubileusz”, tj. 50-lecie, nie będzie już z kim rozmawiać.

z poważaniem
Marian Bronkowski
Orzeszkowej 12/14, kl. B, m. 7
Legnica

Od redakcji: Ponieważ „Życie Legnickie” jest wydawnictwem okolicznościowym, jednorazowym, ukazującym się od czasu do czasu, postanowiliśmy list pana Bronkowskiego wydrukować na łamach „Konkrety”. W naszym cyklu „1945—1985” polskie drogi” oczywiście przewidzieliśmy także prezentację pionierów kolejnictwa. Z satysfakcją zatem stwierdzamy, że nasze plany redakcyjne pokrywają się z odczuciami czytelników.

Różnie o nich mówią, ale ostatnio najczęściej źle. — No bo patrz pan — powiada zażywna klientka społemowskiego sklepu branży zbliżonej do spożywczej — takie paskudztwa z Zachodu pościągali, rozpuścili tote w wodzie, jakieś zagraniczne napisy na małej buteleczce i... 120 złotych! Granda, panie! A kiedyś kilo cytryny było za 30!

Znajomy nauczyciel o humanistycznym wykształceniu, który od trzech lat „robi w wiklinie”, mówi, że w umiejętny sposób wykorzystany tu został pogruchniały liberalizm gospodarczy ekipy rządzącej. Wepchnęli się ze swymi kapitałami — dowodzi — bo u nas siła robocza najtańsza w Europie, na inwestycje nas nie stać, a klient kupi byle co. Interes świetny.

Podobnie, choć z innych pozycji, rzecz ujmując pewien działacz. — Nie wróżę temu przyszłości. W określonych uwarunkowaniach naszej złożonej sytuacji społeczno-gospodarczej jest to rzecz pożądana. Pełni funkcję instrumentu zaspokajania niektórych potrzeb konsumpcyjnych. Ale nie wolno zapominać, że w sensie strukturalnym jest to twór obcy założeniom systemowym.

I można by tak o nich dalej, że nieuczciwie zarabiane miliony, że nierzetelność i podejrzaną kontakty z aferystami, że nabijanie w butelkę uczciwego robotnika i chłopca, którzy swą ciężką pracą... I można by je w końcu polikwidować, bo po co nam... firmy polonijne?

Atmosfera wokół nich od pewnego czasu ulega zagęszczeniu. Trudno podzielić poglądy tych, którzy sądzą, że jest to skutek zamierzonych działań jakiejś „góry”. Ale z drugiej strony — nic nie dzieje się bez przyczyny. Wśród „Polonusów” znaleźli się tacy, którzy postanowili wspólnie ze swymi krajowymi zausznikami zrobić biznes szybko, przy minimalnych kosztach i z pominięciem wielu przepisów prawa. Tandetne wyroby wędrowały na rynek, pieniądze do kieszeni, a ponieważ firmy polonijne znajdowały się i znajdują

POD SPECJALNYM NADZOREM

proceder nie mógł kwitnąć długo. Kary, roszczenia finansowe i opinia publiczna zrobiły swoje. Wydrwigrosze i cwaniacy odpadli z gry. Pozostała jednak nadzarpnięta reputacja. Jeśli ktoś zawiedzie się na wierności jednej kobiety, chętnie twierdzi, że cały babski ród jest z gruntu niewierny... Oidium podejrzanego autoramentu spadło na wszystkich. Jest zresztą także szczególna właściwość oskarżeń wypowiadanych półgębkiem i zarzutów, nie wyjaśnionych precyzyjnie do końca tak zwanemu „szerokiemu odbiorcy” — rozdzenie się domysłów, plotek, domorskich spekulacji. I co z tym robić? Ano, chyba robić swoje.

Można tę robotę wykonywać dobrze, można godziwie na niej zarobić, nie wchodząc w konflikt ani z wydziałem finansowym, ani Izłą Skarbową, z Sanepidem, ani PIH-em itd. Wiem o tym, bo znam taką firmę. W herbie ma znak „Billy”, a nazywa się Comindex. W jej trzech zakładach produkcyjnych, a i w warszawskiej centrali, inspektorzy wszelkich organów kontrolnych należą do najczęstszych gości. Nie zdarzyło się w trzyletniej historii przedsiębiorstwa, aby któryś z nich doszukał się uchybień czy nieprawidłowości. Przedstawiciele firmy mówią, że jest to kwestia absolutnie podstawowa — interesy muszą być czyste, bo zaufanie do towaru najłatwiej ulegający przecenie.

SOSY, SOKI I KRÓLIK

Właściciel firmy, Jerzy Starak (z wykształcenia technolog rolni-spożywczy), od 17 lat mieszka we Włoszech. Jest tam szefem jednego z przemysłowych konsorcjów. Jego handlowe kontakty z Polską są bardzo rozległe. Eksportuje do nas między innymi maszyny produkujące opakowania do kosmetyków, lekarstw i wyrobów spożywczych. Przed trzema laty jego założycielski wkład w Przedsiębiorstwo Polonijno-Zagraniczne Comindex wyniósł 200 tysięcy dolarów. Obecnie wartość krajowego obrotu firmy przekracza 2 miliardy złotych, a w obrocie eksportowym sięgnęła 1 milion dolarów. I jeszcze jedna cyfra: inwestycje produkcyjne Comindexu warte są w tej chwili miliard złotych. Wielkość to imponująca, ale i zakres produkcji nietłoczy. Od kosmetyków, soków i syropów naturalnych, poprzez sosy i lekarstwa do hodowli królików, produkcji paszy, futerek i przetworów z króliczego mięsa. 15 asortymentów wyrobów kosmetycznych i tyłuż spożywczych. To

dwie dziedziny stanowią podstawową sferę działalności firmy. Do tego trzeba by jeszcze dodać formy wtryskowe oraz maszyny rozlewnicze i... nie mam pewności, czy wszystko wymienię. Są to wyroby o bardzo wysokim standardzie, oparte o uznane w świecie technologii i komponenty. Nie będę się rozpisywał o kosmetykach, gdyż w hierarchii własnych zmysłów pierwszeństwo przed powonieniem dają smakowi, i wspomnę tylko, iż są to przeznaczone dla obu płci środki zapachowe i odświeżające, a w przyszłym roku pojawiają się też kosmetyki dziecięce. Artykuły perfumeryjne ze znakiem JE zdobyły już sobie uznanie także na zachodnich zagranicznych sąsiadów.

Inna dziedzina. Wychodząc naprzeciw

CZARNA PORZECZKA Z CHRZANEM

Tę ostatnią skład jest w pierwszej chwili szokujący, ale efekt smakowy daje znakomity. Skoro już tak zapędziłem się w te kulinarne meandry, podam składniki któregośkolwiek sosu, np. meksykańskiego. A więc: pikle ogórkowe, powidła śliwkowe, papryka, gorczyca, koncentrat pomidorowy. Wszystkie to ma smak słodko-kwaśny i nadaje się do mięs, wędlin, ryb, na kanapki oraz do pizzy... Sosy są ciągle rynkową nowością, mimo że pojawiły się już przed rokiem. Znaczna to atrakcja dla amatorów potraw nieco ekscentrycznych. Nareszcie gospodynie domowe mogą mieć coś poza musztardą i ketchupem.



Arkadiusz Rodak

nowolwianom dietetyków, Comindex produkuje wyroby farmaceutyczne, których głównym składnikiem są otręby pszenne. To dla żołądkowców. Dla innych będzie Urokinaza — znany w świecie lek rozpuszczający pooperacyjne, wewnętrzne zakrzepy krwi. U nas jest to środek dotąd nie wytwarzany i nie stosowany, ale bardzo potrzebny. Firma weszła w kooperację z producentami japońskimi i amerykańskimi. Pierwsza ampułka Urokinazy — jeszcze w tym roku.

A teraz coś dla smakoszy. Soki ze znakiem „Billy” produkowane są z naturalnych składników owocowych, co jest ewenementem wśród firm polonijnych. Koncentraty niejednokrotnie pochodzą aż z zamorskiej Argentyny i Brazylii. Cytryny, pomarańcze, grapefruity, jabłka maliny, porzeczki, wiśnie — bogaty ogród. Wreszcie sosy. I tu nieco dłużej, bo jest o czym. Nie ma w polskiej kuchni, ani tej dawnej, ani tej kryzysowej, tradycji stosowania sosów w charakterze dodatków podnoszących smak i jakoś np. kanapek. Podajemy co najwyżej ogórki i grzybka, a dopiero przebojem ostatnich lat stał się ketchup. Aż tu nagle: sos cygański, sos tatarski, meksykański, indyjski, francuski i — jakby jeszcze było mało — sos hot-dog, „Jarzębina” oraz „Borówka”, czyli

Jest wszakże w tym wszystkim pewien szkopuł: wyroby Comindexu są dość drogie, chociaż mają ceny konkurencyjne w stosunku do takich firm, jak np. Inter-Fragrances. Kilka przykładów: sok grapefruitowo-jabłkowy — 112 zł, sos indyjski — 96 zł, dezodorant Borsalino — 328 zł. Mechanizm kształtowania cen jest jednakowy dla wszystkich firm polonijnych, ale znacznie różni się od obowiązującego w spółdzielczości czy krajowym przemyśle kluczowym. W tych ostatnich mogą one być po prostu niższe. Skąd te różnice? „Polonusi” w przeciwieństwie do innych producentów, płacą aż 30 proc. podatku obrotowego. Dolar pozyskiwany w eksporcie kosztuje ich 600 zł, podczas gdy kurs eksportowego dolara w spółdzielczości i innych gałęziach wynosi 128 zł. Połowę uzyskanej „waluty” obligatoryjnie zakupuje u nich państwo po 128 zł. Trzeba przy tym pamiętać, że dewizowy „wsad” Comindexu w każdy wyrób jest znaczny. Można by powiedzieć: sprzedawajcie taniej za granicą... To niemożliwe. Firma eksportuje wyłącznie przez Centralę Handlu Zagranicznego i ceny ustala Centrala tylko w potocznym rozumieniu wysokie ceny oznaczają wysokie zyski. Tutaj podatek od wpływów wynosi aż 80 proc. Istnieją jednakże pewne możliwości obniżenia ceny detalicz-



nej i o tym Comindex rozmawia z handlowcami. Chodzi między innymi o zorganizowanie skupu opakowań, które użyte powtórnie stają się o połowę tańsze.

Savoir vivre doby kryzysu sprawił, że pytanie o wysokość zarobków z różnych względów jest prowokacyjne albo nietaktowne. Kiedy niedawno zapytałem o to dołowych górników z kopalni miedzi „Rudna”, odpowiedzieli, że krociowe sumy, o których wieść gminna niesie się legendą. Przedstawiciele Comindexu w podobnej sytuacji twierdzą, że ich zarobki są najniższe wśród wszystkich firm polonijnych. Przeciętny członek 600-csobowej załogi, w której skład wchodzi 40 pracowników administracyjnych, otrzymuje miesięcznie 20 tysięcy zł. Pracownik fizyczny zatrudniony na trzy zmiany zarabia 30 tysięcy, a kierownik działu handlowego — 35. Są jeszcze specjalne nagrody, wypłacane przez właściciela przedsiębiorstwa, którymni załoga — proporcjonalnie do wkładu pracy — połączona jest z zyskiem. Generalnie zarobki mogą być tylko o połowę wyższe od otrzymywanych na podobnych stanowiskach w przemyśle państwowym i „społecznym”. Najniższe uposażeni pracownicy, o trudnej sytuacji materialnej, mają prawo do bezpłatnego spędzenia urlopu w domu wypoczynkowym nad morzem... I tu nie mogę się powstrzymać od gorzkiej autorefleksji. W zeszłym roku musiałem zrezygnować z zakładowych wczasów rodzinnych nad morzem, bo nie było mnie stać na opłacenie kosztów pobytu czteroosobowej rodziny.

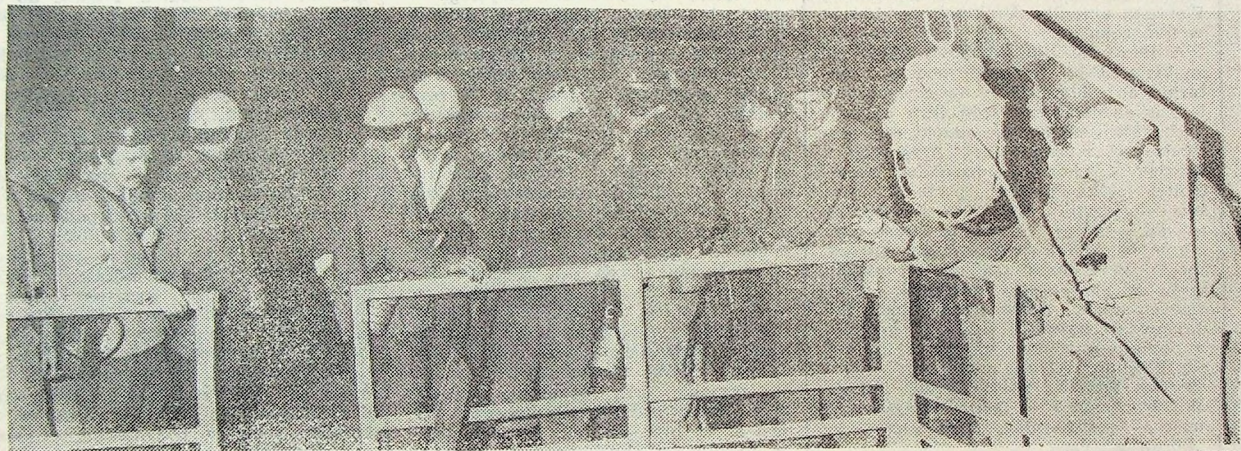
SPRÓBOWAĆ ZNACZY KUPIĆ

Uczestniczyłem w spotkaniu przedstawicieli Comindexu z grupą dziennikarzy i dołnośląskich handlowców, głównie społemowskich. Podane do degustacji wyroby smakowały, nawet bardzo. Sosy zebrały więcej pochwał i komplementów niż niejedna kandydatka do tytułu Miss Polonia. Ale zastanowił mnie pewien szczególny ton w wypowiedziach specjalistów od zaopatrywania naszych sklepów. Był to ton protekcyjnalizmu. Posługujący się tą nutką widocznie zgłębili już wszystkie tajniki uprawiania handlu, mogą więc szczerze innych obdarzać pouczeniami. Rzecz jednak nie w tym.

Skoro już tyle pochwał wygłosiłem pod adresem wyrobów, zwłaszcza sosów, ze znakiem „Billy”, zapytam, dlaczego nie są one do zdobycia w sklepach województwa legnickiego? Tutejsi handlowcy mało interesują się ofertą polonijnych wytwórców. Legnickie WPHW może nie mieć zaufania do producenta damskich sukienek, które brane w ubiegłym roku w trzymiesięcznym komisie nie sprzedawały się ze względu, między innymi, na wygórowane ceny. Ale dlaczego branża spożywcza wykazuje niską operatywność? Przecież polki nie uginają się jeszcze pod brzemieniem towarów. PSS w Legnicy zawarł umowy z poznańską firmą Inter-Agra. Przygotował specjalne stoisko w Megasamie. Ich odpowiedź na pytanie, dlaczego robi się tylko tyle? — brzmi: Tutaj te artykuły nie cieszą się powodzeniem. Są drogie... Nie jestem pewien, czy takie przekonanie można budować w oparciu o sprawdzenie tylko jednego przypadku.

Wyjątkiem jest lubiński oddział PSS Spotem. W tym roku współpracują z firmą Inter-Fragrances i Comindexem. Łączne obroty handlowe z przedstawicielami „Polonusów” przekroczyły 100 milionów zł. Prezes Pawlicki mówi, że Comindex to porządna firma. Dostawy zawsze na czas, towar atrakcyjny, ryzyko handlowe ponoszone wspólnie. W Lubinie z wielu polonijnych kontrahentów musieli już zrezygnować, gdyż dostawcy okazali się nierzetelni, proponowali buble o wysokich cenach, a tych jest przecież pod dostatkiem z przemyśle kluczowego i spółdzielczości. Wprowadza się tu coraz nowsze formy reklamy i aktywizowania sprzedaży. Czynne jest firmowe stoisko Comindexu na osiedlu Przylesie, wkrótce otwarte będzie drugie — na osiedlu Polnym. Comindex postanowił specjalnie premiować sprzedawców sklepowych za zwiększanie obrotów jego towarami. W marcu mieszkańcy miasta zostaną zaproszeni do rynku na pierwszą wielką degustację sosów, soków i słodczy. Firmie i handlowcom bezpośrednio chodzi o reklamę, a pośrednio — także o kształtowanie gustów klienta.

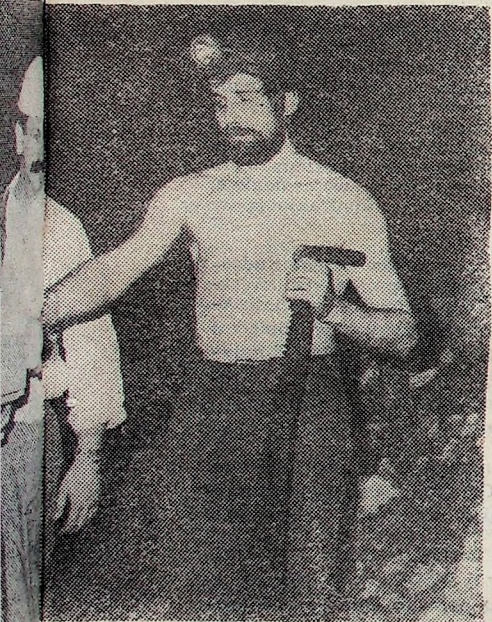
Raz jeszcze wróć do wątku poruszonego na wstępie. Myślenie nic nie kosztuje, a dziecko wylane z kąpieli nie przysparza chwały rodzicom.



BEZ POZORÓW

Zdjęcia: Janusz Budnicki

Tekst: Jacek Broszkiewicz, Antoni Neczynski



Prawie 1000 metrów pod ziemią odstrzelone skały mają temperaturę 46 stopni. Dla ludzi, którzy pracują w tych warunkach dzień po dniu nie jest to nic szczególnego. Powierzchniowy laik, który po minucie błyskawicznej jazdy klatka znajdzie się na tym poziomie i zawedruje do przodka natychmiast pokrywa się potem. Do oddziałów wydobywczych ZG „Sieroszowice” można się dostać właściwie tylko przez szyb zachodni „Rudnej”. „Sieroszowice” to kopalnia miedzi w budowie. Po cztero i półkilometrowej jeździe wagonikami elektrycznego pociągu trafiamy na oddział G-24. Brnąć w błocie i co rusz ustępując drogi potężnym wozom odstawczym załadowanym rudą zmierzamy do przodka. Załoga „Sieroszowice” liczy 2200 ludzi, ale ich nie widać. Na jednej zmianie na G-24 pracuje 16 górników. Nie ma tłoku. Czarna robota wykonują wiertnice, kotłownia, ładowarki i wozy odstawcze. Nikt nie macha kilofem. Mimo że oplacają „Rudnej” i „Polkowicom” za korzystanie z szybów i taśmociągów — tysiące ton rudy wędrują codziennie na powierzchnię. Pod względem zawartości miedzi w rudzie jest lepiej niż np. w ZG „Lubin”. Teraz wskaźnik ten wynosi 1,65 procenta. Zbadane pole wydobywcze „Sieroszowice” liczy 100 kilometrów kwadratowych. W przyszłości dobowe wydobywanie wyniesie 10 600 ton rudy. W bezpośrednim sąsiedztwie szybu wschodniego SW-1 powstanie zakład wzbogacania rudy, skąd miedziowy koncentrat przewożony będzie do głogowskiej huty.

Dla górnik informacji te nie stanowią żadnej rewelacji. Zaciekawiają tych, którzy w kopalni znaleźli się po raz pierwszy. Zaproszeni do kopalni przez młodzieżowców z „Sieroszowice” radzieccy żołnierze z PGWAR zasypują przewodników gradem pytań. Jest oczywiście, że podziemne miasto robi na nich duże wrażenie. I Polacy i Rosjanie są zdania, że przyjaźń nie polega wyłącznie na oficjalnych rocznicowych spotkaniach i kurtuazyjnej wymianie uprzejmości przez szefów organizacji komсомольskiej i ZSMP-owskiej. Tutaj na dole przyjaźń ta zyskuje inny wymiar. Jest okazją do skonfrontowania obiegowych opinii o pracy górników z rzeczywistością. Warunki dołowe nie sprzyjają długim i wnikliwym rozmowom. Będzie na to czas na powierzchni.

Mirek Flakowski mimo 32 lat nie wygląda na młodzieżowca — sumiasty, wosk, porwana brudami twarz — nieczym nie przypomina znanych z mównic szlendarowych działaczy. Do niedawna był kierownikiem oddziału w „Sieroszowicach”.

— W ubiegłym roku zdecydowałem się wstąpić do partii. Otrzymałem zadanie: Stworzyć w ZG „Sieroszowice” od podstaw organizację młodzieżową. Do tej pory młodzież nasza nie była zorganizowana...

Wytłumakujmy im to wszędzie: i w KW i w KGHM. Wtedy nie mieli do tego głowy. Najważniejsze było uruchomienie kopalni. Problemów technicznych, jak w każdym nowym zakładzie młodość, a ludzi do ich pokonania mało. Polityczny klimat też nie sprzyjał i w całym dwutysiecznym zakładzie tylko dwóch — trzech decydowało się społecznie „wychylać”. W maju ubiegłego roku tych kilku odważnych z Flakowskim na czele pomyślało kategoriami całej młodzieży: trzeba im coś dać, zaoferować. No i pojechali na koszt państwa (zakładu) na szkolenie — wycieczkę z grupą młodych górników. A tam, na miejscu w Szklarskiej Porębie pogadali sobie jak Polak z Polakiem. Działalność dla picia nie ma sensu. Wiadomo, że na początek najważniejsza jest forsa. Nie chcieli wisieć na garnuszku i wykłócać się o każdą złotówkę w dyrekcji. To co robimy? Po pierwsze oddział młodzieżowy. Po drugie Fundusz Akcji Socjalnej Młodzieży. Chwyciło. Już po dwóch miesiącach oddział pracował pełną parą. Taki był efekt prawie towarzyskiego wyjazdu do Szklarskiej Poręby. Wkrótce oddział ten wypracował pół miliona złotych, na zasadach FASM. Flakowski obiecał, w co na początku nikt nie wierzył, że cała forsa pójdzie na sfinansowanie wycieczki na Węgry. Pojechali. Fama rozeszła się po firmie błyskawicznie. To zmobilizowało innych. Dodatkowa praca podejmowana na innych oddziałach. Szereg organizacji rosł. W ciągu siedmiu miesięcy powstała 400-osobowa grupa zetesempowców. W kopalni roboty dużo. Grupki młodych ludzi podejmowały zadania indywidualne, poza normalnym czasem pracy (w soboty i niedziele). Była do zakotwienia i osiatkowania komora — brali na pniu Ceny na górniczą robotę są drogie. Fundusz rósł. Szybko stali się ważnym partnerem zakładu w rozwiązywaniu socjalnych problemów załogi. Dofinansowały wczasy, spłacają kredyty mieszkaniowe dla młodych małżeństw. Są wszędzie tam, gdzie ludzkie problemy.

O młodych z „Sieroszowice” nagle zaczęło być głośno. Cóż z tego, że niektórzy mówią — łatwizna na zasadzie słomianego ognia?

Flakowski: — Latwiej się pracuje mając przychylnych dyrektorów. Czasami jeden niechętny człowiek zepsuje wszystko. Ale nasz „stary” nie daje lekka ręką. Mówi: Chcesz jechać z młodymi w góry — płac za wszystko. I płacimy, stać nas na to.

W „Sieroszowicach” nie jest łatwo. Obiegowa opinia głosi, że kopalnia jest deficytowa. Lepiej jednak nie powtarzać jej tamtejszym górnikom, to ich ekscytuje, wkurza i obraża. Podkreślają, iż zakład cały czas się buduje. Ponosi olbrzymie nakłady, które zresztą w całości czerpie z KGHM, bo wypadli z CPR. Nie mają własnych szybów, taśmociągów, przeróbki. Kiedy to wszystko powstanie, będą drugim, po „Rudnej” rekinem finansowym kombinatu.

— Wszystko to odbija się na sytuacji socjalno-bytowej załogi — mówi Henryk Pawlak, przewodniczący NSZZ Pracowników ZG „Sieroszowice”. — Młody zakład, młoda załoga. Duża w niej rotacja. Niestabilność kadry. Pierwszy poważny nabór załogi miał miejsce w 78 roku. Przyjeżdżali zewsząd. Załapałszy się tylko przez dwa lata na mieszkania, jakim dysponował kombinat. Dziś 60 procent załogi nie ma własnego lokum. Gnieźdzą się po kątach, w prywatnych kwaterach. Mieszkańców to dla nas największy problem. Nie ma bazy wypoczynkowej, budowlanej, dopiero ostatnio udało się załatwić 150 działek w Radwanicach...

Ale spółdzielnia mieszkaniowa, która dopiero powstanie, będzie miała charakter ogólnozakładowy. Młodzi muszą liczyć tylko na siebie. Wypracowane dodatkowo pieniądze nie mogą iść do kieszeni, czy na wódkę. Ale można za nie zorganizować zagraniczną wycieczkę, wyjazd z rodzinami na narty, można pomóc koleźce, który ma trudne warunki bytowe. Decyzje podejmowane są kolektywnie.

I chyba tak jest u nich w „Sieroszowicach” na co dzień. Nie ma miejsca na pozorowaną działalność, sztampowe przemówienia, propagandowa otoczka, szniste sprawozdania. Czegoś takiego młodzi górnicy nigdy nie zaakceptują. A jeśli komus brakuje akapitu twardego działalności ideologicznej, to czyż nie jest jej początkiem sam fakt zorganizowania w tak krótkim czasie czterech setek młodych ludzi, wyzwolenie u nich potrzeby wspólnego działania, pracy dla siebie i dla innych?

O sprawach tych mówiono dużo i kontrowersyjnie na powierzchniowym spotkaniu z młodymi komсомольcami z PGWAR. Styl pracy obu organizacji jest odmienny. I z tym się zgodzono. Ale najważniejsze, że zgodzono się także z tym, iż codzienna wrażliwość na potrzeby środowiska, w którym organizacja działa, wrażliwość na ból i radość ludzi, autentyczna pomoc potrzebującym — kształtują jej oblicze. Warto o tym mówić, i jak obiecano to sobie wzajemnie, nie jest to ostatnia rozmowa.

Rozklekotana ciężarówka przystanęła wreszcie na jednej z ulic. Na „paczce” jechało się niezbyt komfortowo, więc koniec podróży przyjęli z ulgą. Ktoś krzyknął: „wysiadka!” Głos odbił się od rumowiska i pomieszał ze stukotem burtów nietypowych podróży.

Był maj 1945 roku. Miasto rozkwitło się w pierwszym słońcu i rozzieleniu przepysznym. Tak jakby chciało przywitać gości. I zatrzymać. Wiele dał, spraw i twarzy zatarło się w pamięci, ale obraz ten do dzisiaj jaśnieje we wspomnieniach. — Nie dziwnie — wspomina pani DANUTA GOŚCINSKA — miałam tylko 18 lat i dziewczęcą wrażliwość.

Na nie zdążył tłumaczenia matki Danka coraz uważniej wsłuchiwała się w słowa werbowników: na ziemiach odzyskanych czekała praca, chleb i własny kąt, zachód potrzebował młodych rąk i umysłów, gospodarzy. Aż przyszedł dzień, w którym zebrała matkę i pożegnała Kielce. Prawda, że z żalem, bo zostawiła tam najbliższych. Ale — przekonywała matkę — chciała coś zrobić sama, zacząć życie na własny rachunek, chciała poznać świat i ludzi.

Nie, nie była dziwnym i upartym wyjątkiem. W tym dniu z Kielc wyruszyło prawie dwa tysiące osadników. Młodzi, starzy i dzieci, których łączyło jedno — entuzjazm i nadzieja na spokojne życie. Pociąg do Częstochowy wypełnił się po brzegi i pani Danuta znalazła miejsce dopiero na dachu. Uciążliwa to była wędrówka — kawałek towarowym, trochę pieszo, parę kilometrów samochodem, dalej znów pieszo. Aż do celu. A celem była na początek Trzebnica. Tam zakwaterowano przybyszów w przestronnych koszarach i nakazano: czekać! Na co?

— Na koniec wojny, na spokój — opowiada pani Danuta. — Przecież to była dopiero połowa kwietnia czterdziestego piątego, więc do końca wojennej zawieruchy daleko.

Prawie codziennie jednak z Trzebnicy wyjeżdżały ciężarówki z grupami osadników. Kolejno i systematycznie. Do każdego wolnego miasta i każdej wyzwolonej osady na Dolnym Śląsku. Wojsko wydierało Niemcom metr po metrze, a za wojskiem szli ludzie, by przywracać umarłym miastom życie i organizować władzę.

— Któregoś dnia usłyszałam w biurze pełnomocnika rządu, że można już jechać do Lubina. Pan Garnarczyk, którego mianowano starostą w obwodzie siódmym, dobierał sobie współpracowników. Nie wahalam się zbyt długo i odebrałam skierowanie. Tak mój los związał się z tym miastem.

„Powierzam wam obowiązki maszynistki w biurze pełnomocnika Rządu Tymczasowego na obwód w Lubinie, na Dolnym Śląsku. Pobory ustalam według XII grupy uposażenia...”. Skierowanie, pozostawione i nadawione przez czas karteluszek, to jedyna pamiątka z pionierskich dni, przechowywana przez panią Gościńską z pietyzmem.

— Pamiętam dokładnie. Przyjechaliśmy rozklekotaną ciężarówką drugiego maja. Jeszcze dzień wcześniej maszerowałam w pierwszomajowym pochodzie po trzebnickich ulicach. Samochód zatrzymał się przy budynku, w którym dzisiaj mieści się Liga Kobiet, na ulicy Odrodzenia. Przywitały nas ruiny i lubińska wiosna.

★

— Miasto było „zbite” strasznie. Gruzewisko tylko i kikuty domów, ocienione konarami drzew. Weszliśmy do domu, przy którym przystanęliśmy, bo wydał się w miarę cały. Na parterze zorganizowaliśmy biura, na piętrach zaś mieszkanie. Pomieściło się wszystko — i dobytek, i ludzie. Była nas przecież ledwie garstka — trzy dziewczyny i piętnastu mężczyzn.

Przy władzy było wtedy bezpiecznie. Tak rodziło się wówczas nowe życie — gdzie władza, tam ludzie. W mieście pozostało jeszcze wielu Niemców, w lasach buszowały bandy, które nie uznawały polskiej rzeczywistości. Przez wiele miesięcy trzymaliśmy się więc razem, nawet do miasta nikt nie wychodził w pojedynkę. Na początku poruszaliśmy się tylko po dwóch ulicach: Odrodzenia i Ścinawskiej.

— Czarna kawa i suchy chleb to była powszechność. Żyliśmy bardziej niż skromnie. Czasem ktoś wyszperał w piwnicach wieki, konserwy lub inne żywnościowe zapasy i wtedy była uczta. Prowadziliśmy wspólną kuchnię i śpiarnię, a stołówka mieściła się w

podwórku dzisiejszej prokuratury. Dziewiliśmy się uczciwie każdą kromką chleba. Jak w zgodnej rodzinie. Dlatego wspominał ten dzień z sentymentem. Mimo że brakowało wszystkiego.

Miasto zmieniało się prawie z dnia na dzień. Przez Lubin przeciągały tłumy powojennych tułaczy. Jedni wracali do rodzinnych stron, inni szukali swojego miejsca na ziemi. Każdy z nich musiał jednak zgłosić się do biura starosty, by uzyskać przepustkę i zgodę na dalszą wędrówkę.

— Wtedy namawialiśmy: zostańcie! To miasto też potrzebuje ludzi. I wielu zostawało. Tak jak my, na zawsze.

Już po paru miesiącach z kominów puściły się w niebo wstążki dymów, zaludniły się puste domy i ulice, otulone przedtem mroźną ciszą. Powstawały pierwsze urzędy, rozpoczął pracę szpital, potem posterunek milicji obywatelskiej, ruszyła kolej. Już w czterdziestym szóstym pani Danuta wybrała się pociągiem do Kielc. W odwiedziny do matki. Dzisiaj już tylko w pamięci Lu-

binie. Meza pani Danuta poznała też w Lubinie. Zdzisław Gościński przyjechał tydzień później i rozpoczął pracę w tym samym biurze. Starosta dokuczał dziewczynom, żartował i upierał się, żeby wychodziły za mąż. Kandydatów przecież, jak mówił, nie brakowało. Urządziły więc któregoś dnia losowanie. I los tak chciał, że trzy razy pod rząd pani Danuta trafiała na zapalną Gościńskiego. Mówili, że palec boży, więc za rok odbyło się wesele. Stół uginał się pod rarytasami, ponieważ pan Zdzisław pracował już wtedy w Pieszkowie, więc zadbał o solidne zapotrzebowanie weselników. Funkcję komisarzowego wójta dzielił bowiem z obywatelkami rolnika.

— O białej sukni nie było co marzyć. Pojechałam do Walbrzycha, kupiłam materiał, krawiec uszył mi kostium, mama przywiozła z Kielc szary kapelusz i woalkę. I tak stanęłam przy ołtarzu. Był październik 1946 roku.

Zostały z tych lat tylko trzy zdjęcia: ślubny portret na ścianie, z którego pan Zdzisław nie jest zadowolony. —

Moje miasto

Wanda Dybańska



dzi i na nienicznych fotografiach, przechowywanych skrzętnie w domowych archiwach, pozostały obrazy tamtych ulic i zakątków.

— Na przykład ulicy Niepodległości w ogóle nie było. Płynęła wtedy wartka nasza Zimnica, na obu jej brzegach rosły rozłożyste drzewa. Obok zieleni się park ze sławną górką, z której zjeżdżaliśmy zimą na sankach. Dookoła zaś rozciągały się łąki zielone i podmokłe, na przykład w miejscu, w którym dzisiaj są lubińskie „jarniki”. Budynki, które ocalały, stoją w większości do dzisiaj i wyznaczają granice powojennego Lubina. Za nimi były już tylko pola, tam gdzie Ustronie, osiedle Przyłęsie czy osiedle Mickiewicza. Szpital mieścił się przy ulicy Józefa Bema, później, w czterdziestym szóstym, służba zdrowia zajęła gmach na rogu ulic 1 Maja i Traugutta. Milicja zorganizowała posterunek w domu, w którym dzisiaj znajduje się Komitet Miejski PZPR. A w budynku dzisiejszej komendy stacjonowali Rosjanie. Znało to było miejsce, ponieważ co tydzień spotykaliśmy się tam na ogólnomiejskich potańcówkach. Grała harmoszka, a my szaleliśmy na ulicy. W parku, koło dzisiejszego DKZM, blisko schodków, ulokowali się strażacy. W kinie „Polonia” urzędował komitet PPR, parę domów dalej komitet PPS. A w rynku zaczęło się skupiać życie handlowe i usługowe. Dostyc szybko na parterach starych kamieniczek zaczęło otwierać sklepy. Najpierw spożywczy, potem papirniczy, a na Piastowskiej cukiernię itd. Nie wszystko już pamiętam, zatarły się szczegóły. Pamięć jest przecież zawodna. Zresztą miasto zmieniało się błyskawicznie, przenoszono urzędy z miejsca na miejsce, tak jak nasze biuro i starostę. Z pierwszego budynku przeprowadziliśmy się wkrótce do drugiego (dzisiaj mieści się w nim administracja DFH); później do gmachu obecnej sądu rejonowego.

Bo to takie „dzieło” wędrownego artysty — śmieje się. Jest jeszcze zdjęcie pani Danuty, siedzącej przed domem w Pieszkowie, z córką na ręku. I zdjęcie domu w Miloradzicach. — A tu — pokazuje pani Gościńska — ja, mąż, brat meza i koleżanka.

W czterdziestym ósmym pani Danuta przeniosła się wreszcie do meza. Po weselu pan Zdzisław wrócił bowiem do Pieszkowa, bo od początku przypisano mu obowiązek organizowania władzy cywilnej w gminach. A żona została przy starości, ponieważ uparła się, że z miasta nie wyjedzie. Dopiero, gdy na świat przyszło dziecko, dała się przekonać. Na wsi nudziła się, jak mówi, niemilosierdzie i tęskniła za miastem. Wkrótce jednak znalazła sobie pożyteczne zajęcie. Zebrała może dwudziestu uczniów, zorganizowała klasę i zaczęła uczyć sąsiadów. Czytania i pisania. Jak się okazało z powodzeniem, ponieważ po roku władze oceniły jej wysiłki wysoko. Wciąż jednak nie mogła uwolnić się od natrętnej myśli, żeby wrócić do Lubina. Któregoś dnia zostawiła wreszcie gospodarstwo, pojechała do starosty i przedstawiła mu sprawę: niech dadzą meżowi pracę, a rodzinie mieszkanie, bo ona dłużej na wsi nie chce już być. Przecież to jej miasto. Starosta zrozumiał wszystko.

Wrócili w pięćdziesiątym drugim. W Lubinie tętniło już życie, i o mieszkanie było trudno. Wtedy to już była metropolia, ilu liczyła mieszkańców? — Może cztery, może pięć tysięcy — zastanawia się pani Gościńska. W każdym razie po zgłoszeniu nie było już śladu, domy podniosły się z ruin i wypełniły rodzinnym życiem.

★

Kolejne lata to już zwyczajna codzienność — praca, dom i rodzina. Z czasem pani Danuta przeniosła się z meżem do jednego z wieżowców, bo nie miała już siły nosić węgla i wspinać się po schodach. Zagubiła się wśród betonowych bloków i ulic.

— Ojciec zaraz po powrocie z obozu przyjechał tutaj i koniecznie chciał mnie zabrać do domu. Potem wiele razy rodzina namawiała nas do wyjazdu z Lubina. Ale ja przywiązałam się do miasta. Wtedy, w czterdziestym piątym, czułam, że jestem potrzebna — i w biurze, i przy odgruzowywaniu ulic. Dzisiaj jesteśmy już na emeryturze i chyba za późno na życiowe decyzje.

Ponad dziesięć lat temu miasto przyznało pani Danucie odznakę: „Zasłużony dla ziemi lubińskiej”, a po osiemnastu latach pracy w aptece uhonorowało ją dyplomem za dobrą pracę.

— Czasem myślę, że zapominało o mnie — kończy wspomnienia pani Danuta.

Listy

„Kapuściana korespondencja”

W związku z zamieszczonym na łamach „Konkretów” artykułem dotyczącym nie zrealizowanej umowy handlowej zawartej pomiędzy Wojewódzką Spółdzielnią Ogrodniczo-Pszczelarską w Legnicy, a Państwowym Gospodarstwem Ogrodniczym w Legnicy informuję, iż powołałem komisję, której zadaniem było zbadanie i znalezienie przyczyn zaistniałych zaniedbań w powyższej sprawie.

Otóż generalnie rzecz biorąc, zasadniczą przyczyną niezagospodarowania całej zakontraktowanej ilości kapusty (zarówno w sektorze uspołecznionym, jak i nieuspołecznionym) jest jednocześnie wystąpienie dwóch zjawisk, a mianowicie:

— zbyt dużej rozpiętości pomiędzy potrzebami spółdzielni — 3500 t kapusty, a wielkością zawartych umów kontraktacyjnych i handlowych, łącznie ok. 6321 t, tj. 180 proc. w stosunku do potrzeb,

— wyjątkowego urodzaju kapusty w całym kraju, co w konsekwencji doprowadziło do powstania znacznych nadwyżek tego produktu na terenie naszego województwa.

W latach poprzednich skup z kontraktacji wynosił ok. 40 proc., w głównej mierze z powodu nieurodzaju kapusty oraz na skutek niesolidności kontrahentów w zakresie wywiązywania się z zawartych umów i w związku z tym nie zabezpieczal potrzeb handlu i przetwórstwa. Spółdzielnia zmuszona była sprowadzić towar spoza województwa. Stąd zwiększona była kontraktacja w roku 1984.

Na podstawie wyników przeprowadzonej kontroli stwierdzam, że stopień realizacji umów handlowych i kontraktacyjnych przez spółdzielnię w ubiegłym roku kształtował się w sektorze indywidualnym na poziomie 54 proc., natomiast w gospodarstwach państwowych wynosił 71 proc.

Ponadto informuję, że nie odebrana kapusta z PGO Legnica została przeznaczona na paszę dla bydła i skarmiona.

Na uwagę zasługuje fakt, iż obydwie sporne strony tj. WSOP i PGO Legnica osiągnęły pełne porozumienie i zobowiązują się nie naliczać wzajemnie kar umownych. Aktualnie w fazie końcowej prowadzone są negocjacje związane z zawarciem umowy handlowej pomiędzy WSOP i PGO Legnica w zakresie dostaw warzyw i owoców na rok 1985.

Zobowiązałem również Wydział Rolnictwa, Gospodarki Żywnościowej i Leśnictwa do przeprowadzenia stałego nadzoru realizacji zadań kontraktacyjnych i skupowych produktów ogrodniczych przez Wojewódzką Spółdzielnię Ogrodniczo-Pszczelarską, aby nie dopuścić do sytuacji, jaka miała miejsce w roku ubiegłym.

Wicewojewoda legnicki
KAZIMIERZ BURTYN

★

W związku z notatką wiceprezesa WSOP w Legnicy Stanisława Kasprowiaka, zamieszczoną w „Konkretach”, Państwowe Gospodarstwo Ogrodnicze w Legnicy oświadcza, że wina za nieterminowy odbiór kapusty od producenta oraz powstałe straty leży wyłącznie po stronie odbiorcy — Wojewódzkiej Spółdzielni Ogrodniczo-Pszczelarskiej w Legnicy. Z treści listu wynika, że z winy producenta, tj. Państwowego Gospodarstwa Ogrodniczego w Legnicy, WSOP nie zagospodarowała około 200 ton kapusty białej konsumpcyjnej z produkcji jesiennej 1984 r. Sugestia ta nie pokrywa się z prawdą.

Dyrektor PGO w Legnicy
mgr inż. TADEUSZ OSKWAREK

Rocknesans

Wbrew pozorom, nie będzie to krytyka niedzielnej serialu dla nieletnich, choć mnie — wielbiciela trzech muzykierów — szlag trafia na dowolność, z jaką scenarzysta potraktował oryginał pana Dumasa. W podobnych przypadkach mówi się, że autor się w grobie przewraca. Ale zauważmy, że jeśli odrzucić pokrewieństwo z oryginałem, to cały serial ogląda się przyjemnie. A co? Ja też oglądam. Jest to jedyny kawałek w naszym TV, który na pewno skończy się optymistycznie.

Ale... sam się przewracam ze zgrozy, gdy słyszę piosenkę, początkową. Upraszczając zagadnienie: język oryginalny, czyli hiszpański, rzadzi się zupełnie innymi prawami niż język polski. Jeśli więc staramy się dokonać przekładu, to należy uwzględnić dwie rzeczy: po pierwsze — musi być w miarę zgodna treść oryginału i tłumaczenia. Ponieważ nie znam hiszpańskiego, przeto tu je-

dwaj" świetnie się rozumieli między sobą i doskonale zdawali sobie sprawę dla kogo piszą. Jaki ten ktoś ma aparat wykonawczy i jaką postać sceniczną kreuje.

Ale — pozostajmy przy wspomnianym już Lipce z BUDKI SUFLERA. Jego muzyka doskonale uzupełnia się z tekstami „Mogiela” czy Dutkiewicza „Dudkiem” zwanego. Przeto ostatnia płyta pt. „Czas czekania, czas ośnienia” zabrzmiła mi nieprzyjemnym zgrzytem. Wokalista okropnie się męczył, bo fraza muzyczna ni cholery nie zgadzała się z frazą tekstową. Co się stało? Po prostu Lipko postanowił się oprzeć na „siłach własnych” zespołu i wykorzystał teksty perkusisty, Tomasza Zeliszewskiego. Nie chciałbym ich oceniać z punktu widzenia jakości literackiej. Nie jestem bowiem pewien, czy to jest poezja czy raczej poetycko idealny zapis stanów frustracyjnych autora (pomijając nieestetyczne koncepty w rodzaju podpalania kota czy wkręcania psa w imadło).

Kluczem do porażki Lipki jako kompozytora na płycie „Czas czekania, czas ośnienia” jest słowo „sylabotoni”. Niektórzy mogą mi mieć za złe, że teoretyzuje, lecz jeśli czasem intuicyjnie czuje-

na to sztuka. Kiedyś wyznała mi Elżbieta Wojnowska, że po pięciu latach zrozumiała, jak należy pewien utwór zaśpiewać. O co w nim naprawdę chodzi. Już słyszę ironiczne komentarze, że taka tupa. A tymczasem to właśnie rockmani nie mają na ogół pojęcia o prawidłowej interpretacji tekstu. Oni są, że rzecz polega na wykrzyżowaniu tekstu do mikrofonu. Jedną z nielicznych artystek rockowych, wiedzących, że głos ludzki to zarówno szept jak i krzyk jest Kora. (Do sprawdzenia choćby w „Krakowskim spleenie”). Bardzo ciekawie podchodził do tekstu Paweł Birula z dawnego EXODUSU. Natomiast pozostała większość wokalistów rockowych poprzestaje na obraniu sobie jednej twarży. Dla przykładu obecna Beata Kozidrak z BAJMU. Histeryczno-nawiedzona ze skłonnościami do pozy proroczej. A przecież pamiętam ją, słodkie wówczas dziewczátko, śpiewając Lenartowicza. Czasem się zastanawiam jaka jest współzależność między interpretacją a potęgą wzmacniaczy. Ba, interpretacja a fatalnym na ogół stanem tychże wzmacniaczy. Co? Niejasne? Ależ to proste. Im słabsza aparatura, tym wykonawca głośniejsze się drze, choćby po to, by usłyszeć samego siebie. Ież ja

Notki i plotki ciekawostki

Weryfikacja muzyków rockowych krąży nad estradami. Plotki z pola bitwy donoszą, że „do poprawki” zakwalifikowano pewnego „klawiszowca” z LOMBARDU, pewnego perkusistę z MAANAMU i pewnego niezależnego gitarzystę z chwilowego duetu KRZYSIEK i RYSIEK. Natomiast pełna zachwyty dla weryfikatorów jest — jak zwykłe — red. Urszula Bielous. No cóż... Jeśli ktoś ucieka po dwóch dniach z Jarocina, twierdząc, że nie rozumie i czuje się ogólnie zagubiony... Póki co, nasi rockmani obłożyli się podręcznikami i obstawili korepetytorami. U nas Mick Jagger nie mógłby nawet w knajpie zagrać, bo nie ma „papierów”.

Odbił się koncert z okazji wręczenia REPUBLIC „Złotej płyty” za „Nowe sytuacje”. Grzesiek Ciechowski, czający w czarny strój, będący krzyżówką galowego mundurku kominiarzy z kielecką partyzantką pięknie zagrał na nowym instrumencie klawiszowym firmy YAMAHA model GX-7. Do kupna zmusiły go nasze realia estradowe. Nie wszędzie dano się zatłoczyć fortepian. Wszyscy chłopcy wzorem lidera, przesłuchali się ostrzygli. Natomiast pytającym — dlaczego obecnie REPUBLICA tak rzadko pokazuje się publicznie wyjaśniam, że prezydent Ciechowski jest już kapralem.

Bardzo życzliwą prasę po tegorocznym MIDEM miało nasze KOMBI. Zainteresowała się tą grupą brytyjska firma płytowa PASSION RECORDS, która wyłansowała m.in. IMAGINATION.

Największa czechosłowacka wytwórnia płytowa SUPRAPHON wyda w bieżącym roku: 83 pozycje z muzyką poważną, 91 pozycji rozrywkowych, i 27 tytułów słownych i słowno-muzycznych. Ponadto: 122 partytury i książkowe pozycje pedagogiczne oraz 16 książek o muzyce. Z licencji przewiduje się m.in.: Deana Martina, THE WHO, YES i DOORS.

A warto przecież wiedzieć, że w Czechosłowacji działają też OPUS i PANTON. U nas natomiast... szkoda gadać. Ostatnia wiadomość to ta, że POLTON, zniechęcony nie najłatwiejszą współpracą z PRONITEM, wycofał stamtąd swoje maszyny. Postawił je prawdopodobnie w szarym polu. Zaś sam PRONIT pozostał przy swoich półautomatach kwalifikujących się jedynie na złom. Zaś dyrekcja POLSKICH NAGRAŃ, zamiast opanować technologię produkcji prostych płyt z dziurką w środku, rozpoczyna reorganizację kadr. Nawet najlepsze kadry — moim zdaniem — dłużej compactu nie wyrzeźbią. A nasi południowci sąsiedzi weszli w koprodukcję z Philipsem. Oni JUŻ mają swoje compacty.

D'Artagnan sponiewierany

Jerzy J. Kaczmarek

stem zdany jedynie na uczciwość tłumacza. Po drugie — i chyba najważniejsze — bezwzględnie musi być zachowana fraza języka polskiego. Załóżmy — dla przykładu — że tłumaczymy ostatni fragment poprzedniego zdania. Prawidłowe akcenty będą wyglądały tak: zachOWANA FRAZA jĘZYKA polsKIEGO. Tymczasem, gdyby to uczynił autor przekładu wspomnianej piosenki, to zapewne zaakcentowałby następująco: zachOWANA fraZA jĘZYKA polskieGO. Kto nie wierzy, niech zasiądzie w najbliższą niedzielę przed telewizorem i z ołówkiem w ręku osobiście obliczy, ile razy tłumacz popełnił przestępstwo wobec własnego języka.

Taki zabieg nazywamy transakcentacją i jest on dopuszczalny jedynie w piosence ludowej. Ale już ta sama piosenka ludowa w podawaniu estradowym powinna być wolna od przesunięć. Przez długi czas zastanawiałem się o co chodzi Maryli Rodowicz, gdy śpiewa: „Hejże gluzje żeglarzu...”. (Hej, żeglujże żeglarzu). Podobny błąd trafil się Zdzisławie Sośnickiej, śpiewającej: „Zegnajlatonarok”. („Zegnaj lato na rok”).

My tu sobie gadu gadu a tam wre wojna. Gdzie? Wszędzie, gdzie tylko zjedzie się autor tekstu z kompozytorem, w celu napisania wspólnej piosenki.

Zazwyczaj kompozytorzy — muzycy z profesji — nie przywiązują większej wagi do tekstu. Słowa mają jedynie ułatwić piosenkarzowi zapamiętanie melodii. Sprawdziłem to wielokrotnie, pytając muzyków: o czym śpiewa człowiek czy kapela, która ci się tak podoba? Nie wiem — pada odpowiedź — ale fajnie grają. Owszem, sposób traktowania instrumentu, jego użycie w aranżacji, zestaw instrumentalny — wszystko to jest istotne, ale — przynajmniej według mnie — stanowi zaledwie połowę muzyki. O ile ta ostatnia nie jest instrumentalna programowo (np. KASA CHO- RYCH, KRZAK, Biliński, wiele rzeczy Szreka i SBB).

Autor tekstu natomiast będzie walczył o to, by mu muzyka nie przesłoniła słowa. Wniosek stąd płynie oczywisty, że najlepiej jest, gdy do „okrągłego stołu” zasiądzie muzyk, tekściarz i... wykonawca.

Wśród takich „idealnych małżeństw” wskazywaliśmy: Romualda Lipkę i Andrzeja Mogielnickiego piszących dla Trojanowskiej. Jakże sromotnie dałem się nabrać, biorąc Izę za wykonawczynię samodzielnej. Podobnie idealnym zestawem jest tenże Mogielnicki z Borysewiczem i Panasewiczem. Nie lubię LADY PANK ale sprawiedliwość im oddaję. Ta trójka wie, jak kreować przeboje. A przecież o to w końcu chodzi, jeśli odrzucimy idee i przesłania muzyki rockowej.

Tak idealnym tandemem była para Wasowski-Przybora, doskonale znana jeśli nie z samego Kabaretu Starszych Panów, to z co najmniej kilkunastu przebojów dla całej naszej czelów-ki aktorsko-wokalnej. „Starsi panowie

my, że „coś nam nie pasuje” to warto sięgnąć nieco głębiej, i spytać „co właściwie?”.

Cóż to takiego, ten sylabotoni? Zaczynamy od rzeczy elementarnej. Otóż „cały ten rock” jest w ogólnym zarysie pochodną bluesa, czyli struktury niemal zawsze opartej jedynie na trzech podstawowych akordach i niemal zawsze liczącej sobie równie dwanaście faktów. Jaki powinien być tekst do tak prostej melodii? Też możliwie prosty, czyli zawierający stałą liczbę sylab w wersie i stałą liczbę akcentów oraz budowę zwrotkową.

Ta zasada zachowała się niemal w całości do dziś i obowiązuje we wszystkich tzw. wielkich hitach. Kto ciekaw — niech sobie policzy np. „Dmuchawce, latawce”, piosenki Franka Kimmonego albo przeboje kogokolwiek innego, z serii tzw. lekkiej, łatwej i przyjemnej.

A oto próbka „matematyki” z tekstu Zeliszewskiego „Wyspy bez nazw”: Krzyk szaleńca budzi świadomość ma (10)

Ręce nieruchomo ujęte są w biały płaszcz (13)
Co rękawy z tyłu w supel ma (8)
Z kąta widzę męską ciekawską twarz (10)

To ten co ludzkości sposób na życie chce dać (13)

Rzut oka na liczby przy poszczególnych wersach i już wiadomo, że „Wyspy bez nazw” przebojem — takim nuconym przez wszystkich — nigdy nie będzie.

Rzecz jasna, nie chciałbym, aby powyższe myśli były traktowane jako mój wyraz niechęci wobec Lipki czy BUDKI SUFLERA. Chciałem jedynie na konkretnym przykładzie wyjaśnić, jak kłopotliwe może być pisanie piosenek. Bo w podanym przypadku — coż mógł zrobić kompozytor? (Zakładamy, że nie chciał rezygnować z warstwy tekstowej, czyli jak to w szkole nazywają: co poeta chciał powiedzieć). Otóż — moim zdaniem — powinien ZMUSIĆ autora tekstów do podporządkowania się pewnym rygorom gatunku muzycznego. A jeśli — z jakichś powodów — tego nie uczynił, to efekt taki jak na płycie:

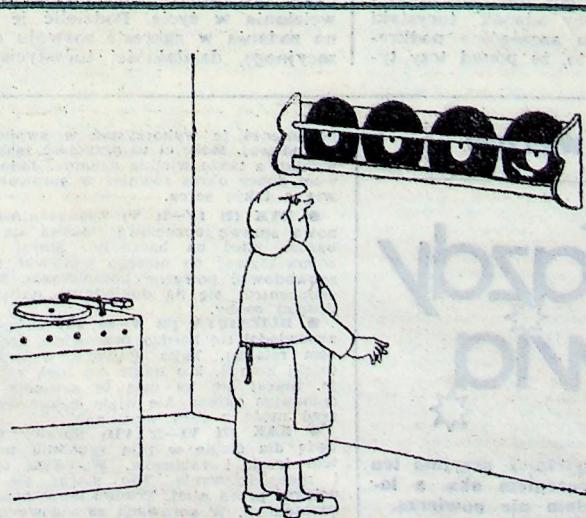
Jestem gorącym zwolennikiem poezji śpiewanej, czym raczej w tej rubryce nie powinienem się chwalić, lecz właśnie ona najlepiej uczy szacunku dla myśli autora i pokory wobec tekstu. Zwykle bowiem adepci (a i najwięksi artyści) tego gatunku zwracają szczególną uwagę na zgodność słowa i muzyki. Zauważmy, jak niewiele piosenek — w porównaniu z twórcami rockowymi — nagrały np. Ewa Demarczyk czy Elżbieta Wojnowska. Lecz każdy, kto mógł porównać np. „Taki pejzaż” nagrany na płycie Polskich Nagrań i dużo późniejszej — wifonowskiej, może bez trudu stwierdzić, że: tekst ten sam, muzyka ta sama, a przecież piosenka (?) zupełnie różna. To porównanie polecam tym, którzy chcą się dowiedzieć na czym polega interpretacja i jaka trud-

już widziałem imprez rockowych, a prawidłowo nagłośniona tylko jedna: koncert MAANAMU w przekleję przez wszystkich innych wykonawców Sali Kongresowej. Czyściutki, klarowny dźwięk i każdy szept słyszalny. Nieźle też było w zeszłym roku w Jarocinie. Ale tak poza tym, to nasze krajowe koncerty na ogół mordują naszych krajowych wykonawców za pośrednictwem podłej aparatury.

Co ma sprzęt do omawianej wcześniej roli tekstu? A proszę mi powiedzieć, tak z ręką na sercu, kto z bywałców koncertów rockowych ZROZUMIAŁ cały tekst zaśpiewany z estrady? (O ile nie znalazł go wcześniej i nie dostał do ręki powielonej kartki jak niegdyś na REPUBLICCE i nowej grupie Holdysa). Twierdząc, że jest to absolutnie niemożliwe. Zresztą... Cóż tu błażać nad koncertami gdy i z płyty trudno pojąć o co chodzi. Bo póki co, zakładam, że wykonawcy rzeczywiście o coś chodzi.

W takich warunkach aż kusi, by sobie ten nieszczesny tekst „odpuścić”. Widz? Cóż widz. Pojmie albo i nie. A jeśli nie, to zawsze można mu wyjaśnić że jest — w najlepszym przypadku — ćwierć-inteligentem.

To chyba kalektwo, ale jestem już w tym wieku, że chciałbym usłyszeć o co chodzi w piosence. Tymczasem albo mi to uniemożliwia kiepska aparatura albo podłe nagranie. A jak już coś do mnie dotrze, to ciska o ziemię jak w przypadku piosenki o d'Artagnanie. To zabawne, ale profesjonalści tekstowi na ogół piszą o „wdziękach Maryni” bo tak jest bezpieczniej. Ci, którzy autentycznie chcieliby coś ważnego powiedzieć — czynią to nadzwyczajnie nieudolnie. Choćby z racji młodego wieku. Kogo mam więc słuchać? Chyba tylko Bilińskiego. On z całą pewnością nie śpiewa.



Z prezesem Zarządu Wojewódzkiego Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Legnicy EDWARD RIPPPEM rozmawia Zygmunt Łuszcz.

— Jesteśmy świadkami podsumowania kończącej się czteroletniej kadencji działalności ZW PTTK. Były w niej widoczne osiągnięcia, ale równocześnie nie brakowało trudności. Jak najogólniej może pan scharakteryzować ten ważny okres w działalności zagłębiowskiej organizacji PTTK?

— Była to wyjątkowo trudna kadencja. Stało się to z racji przypadających w tym okresie znanych wydarzeń społeczno-politycznych i gospodarczych. Dotyczyły one nie tylko naszego regionu, ale i całego kraju. W tym właśnie czasie musieliśmy walczyć nie tylko o utrzymanie autorytetu organizacji (wiodącej jej roli w organizowaniu aktywnego, turystycznego wypoczynku), ale również o to, by swoją działalnością przekonywać ludzi do współpracy z nami, do uczestnictwa w proponowanych imprezach turystyczno-krajoznawczych i do tego wreszcie, że turystyka jest jedną z najbardziej racjonalnych form wypoczynku, a jednocześnie istotnym elementem socjalnej i kulturalnej polityki naszego państwa.

Muszę powiedzieć, że najtrudniejsze w mijającej kadencji były jej dwa pierwsze lata. Głównie z powodu spadku uczestnictwa w naszych imprezach, odchodzenia wielu działaczy i czasowych ograniczeń w ruchu turystycznym. Wszystko to spowodowało, że nasza działalność nacechowana była przede wszystkim dążeniem do utrzymania organizacyjnego stanu posiadania oraz dotychczasowego poziomu wszelkich poczynań. Mogę — z pełnym zadowoleniem — stwierdzić, że wyszliśmy z tych trudności obronną ręką, a to głównie dzięki ofiarnej pracy licznej (chyba najliczniejszej w województwie) rzeszy działaczy i stosunkowo skromnej (w porównaniu z innymi organizacjami) grupy etatowych pracowników towarzystwa. Nie bez znaczenia była pomoc — organizacyjna i finansowa — Wydziału Kultury Fizycznej, Sportu i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego, Kuratorium Oświaty i Wychowania oraz Kombinatu Górniczo-Hutniczego Miedzi. Wysoko cenimy sobie również współpracę ze Społecznym Komitetem Przeciwalkoholowym.

— Czy moglibyśmy poznać bliższe szczegóły charakteryzujące waszą działalność w ostatnim czteroleciu?

— Aktualnie zrzeszamy 6713 członków w 143 kółach i klubach działających w całym regionie. Od 1982 roku obserwujemy postępujący wzrost liczby członków, kół i klubów. Należy to uznać za ewidentny (inni mieli z tym duże kłopoty) sukces PTTK. Na szczególne podkreślenie zasługuje wzrost liczby członków zakładowych i osiedlowych kół i klubów, a także tych funkcjonujących w środowisku młodzieży szkolnej. Jest to konsekwencja podejmowanych na planarnych posiedzeniach uchwał dotyczących intensyfikacji naszych działań w tych właśnie środowiskach. Muszę się pochwalić, że w mijającej kadencji zorganizowaliśmy prawie 4300 imprez turystycznych, w których uczestniczyło około stu tysięcy osób. Za najważniejszą rzecz uważam, że większość imprez i akcji miało charakter cyklicznych poczynań uwzględniających tzw. zakresową różnorodność turystyki kwalifikowanej. Równie pozytywnie należy ocenić nasze poczynania krajoznawcze. Ich dotychczasowym efektem jest fakt zdobycia aż pięciu tysięcy odznak turystyki kwalifikowanej. Na szczególne podkreślenie zasługuje i to, że ponad trzy ty-



Nie tylko jubileusz

siące tych odznak zdobyło w ostatnich dwóch latach. Oznacza to, że popularność tej formy poczynań nie tylko nie osłabła, ale widocznie wzrosła. Stało się to m. in. dzięki kadrze programowej, która skupia 1200 ludzi zajmujących się społeczna (i to wyłącznie społeczna) popularyzacją turystyki i krajoznawstwa. Jest to już w miarę stabilne grono, ale potrzeba się o wiele, wiele większe i dlatego też nowe władze wojewódzkiej organizacji będą musiały szczególnie zainteresować się tymi zagadnieniami.

— Oprócz działalności programowej prowadzicie także gospodarczą...

— Zajmuje się nią Międzyoddziałowe Biuro Obsługi Ruchu Turystycznego PTTK poprzez biura obsługi ruchu turystycznego. Należy podkreślić, że nasza działalność gospodarcza — z roku na rok — nabiera rumieńców, czego wyrazem jest uzyskiwanie przez szereg przedsiębiorstw zaliczonych do sektora ekonomiczno-finansowego, a popularnie mówiąc, wzrastających zysków. Są one przeznaczane na działalność statutową i stąd też określone zadania MBORT-u. Nasze BORT-y są przecież agendami programowymi PTTK, a ich pracownicy określają mianem działaczy gospodarczych.

— Każdy zjazd towarzystwa podejmuje stosowne uchwały. Jak wygląda realizacja uchwał II Wojewódzkiego Zjazdu PTTK sprzed czterech lat?

— Podjęte decyzje w bardzo szeroki i szczegółowy sposób określiły nasze zadania. Określiłyśmy oczywiście szczegółowe programy i harmonogramy ich wcielania w życie. Podzielić je można na zadania w zakresie rozwoju organizacyjnego, działalności turystyczno-kra-

joznawczej, zagospodarowania turystycznego oraz poczynań gospodarczych. Z powierzonych przez najwyższe, wojewódzkie gremium zadań staraliśmy się wywiązać jak najlepiej, a szczegółowe rozstrzeżenie dokonane zostanie podczas trzeciego zjazdu sprawozdawczo-wyborczego, który odbędzie się już za dwa dni. Nie zamierzam wnikać w szczegóły, ale chciałbym zwrócić uwagę na inicjatywę podjętą w kończącej się kadencji. Z zadowoleniem możemy przyjąć odbudowanie struktur w zakładach pracy i 33-procentowy wzrost liczby członków w tych środowiskach. Nie zadowala to nas i w najbliższym czasie zrobimy wszystko, aby nawiązać partnerskie stosunki ze związkami zawodowymi. Takowe posiadamy (są podpisane umowy) ze spółdzielczością mieszkaniową. Powołaliśmy wojewódzką i oddziałową komisję działalności w osiedlach mieszkaniowych, a także kluby, jak „Traper” Legnica i „Klaksom” Głogów odnoszą już znaczne sukcesy w sferze krajowej. Udało nam się doprowadzić do organizowania — i to nareszcie — dyscyplinarnych narad wojewódzkiego aktywu turystycznego. Dużym osiągnięciem było też uczestnictwo w konstruowaniu (zatwierdzonego w 1983 roku) programu rozwoju turystyki i zagospodarowania województwa legnickiego. Wydaje mi się, że nasza działalność w obszarach chronionego krajobrazu zasługuje na szczególne podkreślenie. Między innymi podjęliśmy się realizacji filmu krajoznawczego województwa, lokalizacji ścieżek krajoznawczo-dydaktycznych, nie mówiąc już o szeregu pojętym współudziale w obchodach 40-lecia PRL i 40-lecia powrotu ziem zachodnich i północnych do Macierzy, których kulminację przewidujemy w czasie tradycyjnych już Dni Turystyki oraz Tygodnia Turystyki Młodzieży.

— W bieżącym roku przypada jubileusz 35-lecia istnienia PTTK, a zarazem dziesiąta rocznica (mija dokładnie 1 lipca) istnienia Zarządu Wojewódzkiego w Legnicy. Jaki będzie ramowy program obchodów tych — doniosłych dla was — uroczystości?

— Na wstępie chciałbym podkreślić, że nie interesują nas aż tak bardzo jubileusze (równoległe obchodząc je będą różne oddziały i kluby), ale przede wszystkim codzienna działalność przyczyniająca się do rozwoju i propagowania tak turystyki masowej, jak i kwalifikowanej. Wróćmy jednak do jubileuszów. Otrzymałaliśmy w tej materii wytyczne Zarządu Głównego PTTK. Mówi się w nich m. in. o dokonywaniu przeglądu wieloletniego dorobku, uwypuklaniu tradycji, popularyzacji żyjących i już nie żyjących działaczy, prowadzeniu kronik, organizowaniu konkursów i wielu innych poczynaniach propagandowych. Będziemy to oczywiście czynić, ale nie zapomnimy o organizowaniu naszych stałych imprez. Trudno je wszystkie wymienić i ograniczyć się tylko do najważniejszych. Są to przede wszystkim: XIX Rajd „Szlakiem Polskiej Miedzi”, IX Rajd KGHM, XVI Ogólnopolski Rajd Górników i Hutników Miedzi, XVIII Ogólnopolski Rajd Studentów, kolejne zloty przodowników turystyki kwalifikowanej, szósty sejmik Służby Kultury Szlaku, również szósty Wojewódzki Zlot Gwiazd Turystów Kolarzy oraz dziewiąty rajd motorowy „Wiosenne wizyty”. Szczególną uwagę zwrócimy na nasze imprezy cykliczne, w tym również organizowane wspólnie z „Konkretami” wędrowniki piesze „Wędruj z nami”. Wracając jednak do jubileuszowych obchodów, pragnę zaznaczyć, że odbywać się będą w czasie trwania tradycyjnych, wrześniowych Dni Turystyki.

— Już w niedzielę, 10 marca, odbędzie się w Legnicy III Wojewódzki Zjazd Sprawozdawczo-Wyborczy PTTK, który nie tylko dokona szczegółowej oceny waszej działalności, ale także podejmie uchwałę określającą kierunki działania na kolejną kadencję zarządu. Nie uprzedzając faktów chcemy dowiedzieć się, jakie najważniejsze do rozwiązania zagadnienia widzi pan w najbliższym czteroleciu i w perspektywie?

— Jest ich bardzo dużo, ale wymienię — moim zdaniem — najważniejsze. Idzie przede wszystkim o pozyskanie odpowiednich lokali dla oddziałów terenowych, Regionalnej Pracowni Krajoznawczej i Klubu Turysty. Chcemy wreszcie sfinalizować przydział pomieszczeń dla oddziału lubińskiego a także legnickiego i biura Zarządu Wojewódzkiego. W tej ostatniej kwestii czynimy starania o otrzymanie pomieszczeń w Bramie Głogowskiej. Dążyć będziemy także do tworzenia lokali handlowych w Głogowie, Chojnowie i Przemkowie, utworzenia BORT i kasy sprzedaży dewiz w Chojnowie oraz zakupu nowych środków transportu dla MBORT. Zrobimy wszystko, aby rozpocząć (wieloletnią) inwentaryzację krajoznawczą województwa, znacznie rozszerzyć nasze prace w rejonach chronionego krajobrazu, systematycznie realizować plan zagospodarowania turystycznego województwa — szczególnie dotyczy to Pogórza Kaczawskiego i istniejących szlaków w zagłębiu miedziowym. Oczywiście zajmować się będziemy realizacją podstawowych zadań statutowych, a m. in. organizacją różnorodnych imprez, zdobywaniem specjalistycznych odznak, zwiększaniem liczby członków, kół i klubów oraz szkoleniem kadry funkcyjnej. Znając duże zaangażowanie i fachowość naszych działaczy jestem przekonany, że przyjęty przez zbliżający się zjazd program działania zdołamy w pełni zrealizować.

— Dziękuję za rozmowę.

chcicie to wierzyć

Gwiazdy mówią

Wierzmy, że Czytelnicy przyjmą ten horoskop z przyzwyczajeniem oka, a losów swoich gwiazdom nie powierzą.

• **BARAN** (21 III—20 IV) Jesteś w dobrej formie. Masz wiele znakomych pomysłów.

powinieneś je wykorzystać w swojej pracy zawodowej. Może ci to przynieść zaskakujące wyniki, a także wielkie uznanie. Jednym słowem dobry okres również w sprawach zdrowia a także serca.

• **BYK** (21 IV—21 V) Zaangażujesz się w nową sprawę uczuciową. Musisz się jednak bardzo mieć na baczności. Staraj się nie zobowiązywać do niczego ponieważ to może spowodować poważne komplikacje. Na razie skoncentruj się na dokładnym poznaniu tej drugiej osoby.

• **BLIŹNIĘTA** (22 V—20 VI) Okres, który zapowiadał się bardzo pracowicie będzie czasem relaksu. Taka sytuacja wytworzy się dzięki komuś, kto nagie się tobą zainteresuje. Staraj się na całą tę sytuację patrzeć chłodnym okiem. Ale wiele ciekawych wydarzeń może z tego wynikać.

• **RAK** (21 VI—22 VII) Sprawy rodzinne będą dla ciebie w tym tygodniu przedmiotem troski i zabiegów. Wyniknie to nagłe i niespodziewanie. Nie staraj się jednak uciekać przed nimi. Trudno uciec przed przeznaczeniem. W sprawach zawodowych pewnie zmiany na korzyść.

• **LEW** (23 VII—23 VIII) Bardzo cię ucieszą spore wpływy finansowe. Niestety, jednak okaże się, że za nimi w ślad pójdą konieczne wydatki. W sprawach zawodowych

masz bardzo korzystną sytuację. Wszystkie twoje propozycje, nawet ryzykowne, zostaną przyjęte bardzo przychylnie.

• **PANNA** (24 VIII—23 IX) Zbyt kategorycznie starasz się rozmawiać z kimś bliskim. Nie szukaj dźbła w cudzym oku nie widząc u siebie belki. Więcej dyplomacji i wyrozumienia dla kogoś na kim ci przecież bardzo zależy, to powinna być nasza zasada twego postępowania.

• **WAGA** (24 IX—23 X) Masz dobre pomysły i plany w sprawach zawodowych. Milczysz jednak o nich i dźwisz się potem, że inni też na to wpadli nie czekając na ciebie. A teraz właśnie masz wyjątkowo przychylną atmosferę dla swoich posunięć. Pamiętaj o kimś bliskim, czeka na twój znak.

• **SKORPION** (24 X—22 XI) Wyrozumiałość na swoje granice. Postępujesz niezbyt lojalnie wobec kogoś licząc na jego nieograniczoną wspaniałomyślność. Tymczasem ten ktoś zaczyna to widzieć. Najwyższy czas na zmianę frontu. Dobry okres w sprawach finansowych. Nie szalej jednak z wydatkami.

• **STRZELEC** (23 XI—22 XII) Tydzień pełen interesujących wydarzeń. Nie powinieneś jednak podejmować zbyt wielkiego ryzyka

choć sytuacja będzie cię do tego skłaniała. Ktoś czeka na wiadomość od ciebie. Nie zaniedbuj tej sprawy może być bardzo ważna dla twojej przyszłości.

• **KOZIOROŻEC** (23 XII—20 I) Walczysz o pewną sprawę i już uważasz ją za beznačajną. Tymczasem znajdziesz sprzymierzeńca. Musisz to natychmiast wykorzystać. A jeśli stara miłość nie rdzewieje to też trzeba ją podtrzymać. Jeśli będziesz ją zaniedbywał to nie dziw się obojętności jaka cię spotka.

• **WODNIK** (21 I—20 II) Jesteś w złym nastroju, a tymczasem masz wokół siebie dobrych przyjaciół i wszystko zaczyna układać się zgodnie z twoimi planami. Macysz o kims, ale nie starasz się działać. Tymczasem on też musi pokonać swoją nieśmiałość. Drobne kłopoty finansowe.

• **RYBY** (21 II—20 III) Zaabsorbowały cię sprawy domowe i zupełnie zaniedbałeś sprawy zawodowe, a przecież bardzo ci na nich zależy. Skoncentruj się więc choć trochę na tym co teraz dla ciebie ważne. Dobrze namyślił podsunąć ci jakaś Panna. Nie martwił się swoją sytuacją osobistą, jest normalna.

W załączeniu przesyłam odpowiedź na artykuł zamieszczony w nr 4 tygodnika „Konkrety” pt. „Model ze spiżu” z prośbą o jej opublikowanie zgodnie z prawem prasowym.

Dyrektor ekonomiczny
KGHM w Lubinie
mgr WITOLD PARCHIMOWICZ

»Model ze spižu«

Redaktor Janusz Dobrzański w artykule „Model ze spizn” zamieszczonym w czwartym numerze tygodnika „Konkrety” podzielił się z czytelnikami swoimi uwagami na temat funkcjonowania Kombinatu Górniczo-Hutniczego Miedzi w Lublinie. Artykuł nie wymagałby może komentarza, gdyby z góry był sygnowany jako artykuł dyskusyjny oraz nie zawierał tak jednoznacznych stwierdzeń, że „... jednak przed szczegółowym wliczeniem i podawaniem przykładów — jego zdaniem — nieprawidłowości — stwierdza autorytatywnie: „pojawiają się (w kombinacie) sfery budżane nie tylko sceptycznym i kontrowersje, lecz wywołujące sprzeciw swa nieologiczności i brakiem poszanowania dla elementarnych zasad organizacji i rachunku ekonomicznego”. Przeglądając gotowe, w całości autor upatruje braku poszanowania tych elementarnych zasad organizacji i rachunku ekonomicznego, upoważniających do tak autorytarywnych stwierdzeń.

Przykład pierwszy to funkcjonowanie trzech zakładów zaplecza technicznego mających za zadanie zagwarantowanie użyteczności ruchu parku maszynowego w kopalniach i hutach, tj.: ZM „Łegmet” w Legnicy, ZUG „Lena” w Wilkowie koło Złotoryi oraz ZM Zakłady Naprawcze Maszyn w Polkowicach.

Z wywodu autora wysnuć można wniosek, że „skandaliczny” jest fakt funkcjonowania trzech zakładów o identycznym czy prawie identycznym profilu produkcyjnym a to forsa sięgająca tysiący współwłaścicielom i trudem sięgająca jedności (po uśrednieniu). Wobec tego nie należy faktów. Profil produkcyjny wymienionych zakładów jest co prawda zbliżony ale nie identyczny jak by można sądzić z wywodu autora. Zakłady Mechaniczne „Łegmet” produkują maszyny górnicze i części do tych maszyn. Zakłady Urządzeń Górniczych „Lena” narzędzia górnicze i części do maszyn górniczych, a Zakłady Naprawcze Maszyn głównie wykonują remonty samojedźnych maszyn górniczych i urządzeń przerobowych.

W związku z tym potencjał produkcyjny tych zakładów nie jest tak wielki, mobilny, nie może być wzajemnie wymienialny. Stąd druga dotyczy wskaźnika zmienności. Faktycznie jest on we wszystkich wymienionych zakładach niski i za 1984 rok kształtował się odpowiednio: ZM „Łegmet” — 1,400, ZUG „Lena” — 1,377 i ZNM — 1,070.

Przedstawione wielkości w żadnym przypadku nie uzasadniają użytego sformułowania, że wskaźnik uśredniony za trudem przekracza jedność. Pomijamy jednak te nieścisłości, a wróćmy do tematu zasadniczego. **Autor przedstawia receptę** jak ten stan poprawić aby nie był skandaliczny. Jedno z rozwiązań to fuzje jednostek i eliminacja np. jednego z zakładów.

leżących zakładach, należy wobec tego kilka prawdy oczyścić. Po pierwsze, zakłady terytorialnie są od siebie oddalone o kilkadziesiąt kilometrów i równocześnie z połączeniem czy jak kto woli likwidacją jednego z nich nie nastąpi przepływ pracowników gwarantujący lepsze wykorzystanie parku maszynowego. Po drugie źródłem niskiego wskaźnika zmianowości pracy w każdym zakładzie oddzielnym jest nie brak zbytu na produkcję lecz brak fachowców do pracy w zawodach, które nie tylko w województwie legnickim są deficytowe, i które to są przyczyną również „skandalicznego” wskazania zmianowości w innych przedsiębiorstwach. Trzeci błąd spóza kombinatu. Wreszcie na ekonomice zakładu decydująca rola ma nie fakt niepełnego wykorzystania kilku obrabiarek — jakkolwiek jest to również bardzo ważne — ale posiadane zaplecze w tych zakładach. Te natomiast sprawy nie rozwiąże formalne połączenie ZM „Legmet” z ZUG „Lena” i utworzenie jednego zakładu z dwoma superwydziałami w Legnicy i Wilkowie.

Przykład następny podnoszony przez auto-

wa odnosi się do zasadności funkcjonowania w kopalniach warsztatów w warunkach niepełnego wykorzystywania przez Złm „Zamnat” mocy przerobowych i wydajności „Zamnat” ekonomicznej opłacalności remontów maszyn systemem własnym i zleconym. Teza — przynajmniej bardzo sugestywna ale należy tutaj uwzględnić ponownie kilka uwarunkowań, które autorowi umykają z pola widzenia lub nie chce ich dostrzec. Warsztaty kopalniane funkcjonują i będą funkcjonować w kopalniach niezależnie od stopnia rozbudowania wydzielonego zaplecza remontowego. Potrzeba ich istnienia jest związana z dążącym zaspokojeniem potrzeb remontowych przez przemieszczanie maszynownego i to chyba jest oczywiste. Jest natomiast faktycznie sprawą dyskusyjną wielkość własnego zaplecza naprawczego — zwiększenie bądź ograniczenie zakresu remontów, które mogą być wykonane przez wyspecjalizowanych wykonawców. W tym przypadku o celowości tegoż decydować powinien przede wszystkim rachunek ekonomiczny. Jeżeli z niego wynikać będzie, że znacząco większy nakładem kosztów, to decyzyjnie należy do zakładu, to jest zrozumiałe użycie w tym miejscu systemuowania bez zakładając określając ten rachunek — nieświadomie dokonują fałszerstwa — przy przyjęciu i obowiązywaniu już od trzech lat samodzielności finansowej przedsiębiorstw i przeniesieniu tej zasady w wewnętrzny system KGHM na zakłady, to kto i kogo tutaj oszukuje? Stosowanie administracyjnych zakreślonych warsztatów kopalnianych stawia pod znakiem zapytania samodzielność finansową i ekonomiczną — kwestia która — należy pojąć — nie jest obojętna autorowi. I żeby zakończyć sprawę remontów, to jeszcze problem ich kosztów, który może przekraczać cenę zakupu nowej maszyny. Możliwość przecząca, ale co zrobić gdy nowej maszyny nie można kupić u producenta krajowego, a import rocznie będzie wydatki dewizowe związane nie tylko z zakupem ale również w dziesięć lat — okresie eksploatacji tego urządzenia nader dużym — znówu nie sposób pominąć — przez autora, który pojął — hipotetyczny przykład, że koszt wytworzenia i eksploatacji części zamiennych jest kilkakrotnie większy od ceny samochodu. Tym samym sugerując, że takie same relacje występują w przypadku remontu maszyn górniczych.

Kolejne dowody braku organizacyjności elementarnych zasad organizacji zaczyna w dalszym ciągu struktur organizacyjnych małego przedsiębiorstwa. W tym celu należy podać przykłady braku zasadności odrębnego funkcjonowania: Zakładu Budowy Kopaliń oraz Zakładu Robót Górniczych jak również Zakładu Remontowo-Montażowego oraz Zakładu Budownictwa Górniczo-Hutniczego. Zbiżony Zakład produkcyjny, a raczej usługowy tych zakładów stanowił dla autora przesłankę dla stwierdzenia, że z punktu widzenia organizacji zarządzania, że z ekonomiki działalności tylko ich fuzja jest rozwiązaniem optymalnym. Dla potwierdzenia stawia śmiało tezę, że agent uczyniłby to (dokonał odczytu) nie czekając chwili. Może uczyniłby ale na pewno no wcześniejszym zastanowieniu się?

W budownictwie optymalność jednostki organizacyjnej (pód względem wielkości) determinowana jest ilością budów, rozproszeniem robót oraz ich różnorodnością. Stąd w naszym wiadomo nie zostały się duże przedsiębiorstwa budowlano-montażowe tworzone ongiś z przesłankę nie innych jak te, które wymienia autor. Po krótkim okresie stwierdzono, że nowo powstałe jednostki nie są wcale z punktu widzenia zarządzania optymal-

ne, a i z ekonomiką nie jest tam najlepszej. Po rozprawieniu się z elementarnymi brakami w poszanowaniu zasad organizacji i zarządzania autor przystępuje do równie przyrępnego rozprawienia się ze stosowanymi systemami motywacyjnymi, co przychodzi mu łatwo bo z prostu stwierdza, że ich (systemów motywacyjnych) nie ma wcale, bo to co funkcjonuje można zaliczyć do pół czy ćwierć systemów".

Jedno co można stwierdzić odnośnie tych zagadnień, to na pewno KGHM znalazł się w grupie przedsiębiorstw pbotujących tworzenie zakładowych systemów wynagrodzeń. Nie znalazł się bo nie mógł się znaleźć i to nie dlatego. Ze jest zapatrzony, że właśnie ten wielki brat „wesieli”, ale dlatego, że właśnie ten zapatrzony ustawy o zasadach tworzenia zakładowych systemów wynagrodzeń wylaczył z tego przemysł wydobywczy, a tym samym kombinat.

Była to konsensusowa, obowiązywała uchwały nr 2 Rady Ministrów z dnia 8 stycznia 1982 roku w sprawie prawnego i placowego dla górnictwa rud i jak również, ponosi do końca 1985 roku uchwaly nr 199 Rady Ministrów z dnia 11 września 1981 roku w sprawie środków zapewniających zwiększenie wydobycia węgla kamiennego oraz innych surowców wydobywanych w kopalniach glebinowych. Natomiast nie znajduję potwierdzenia w rzeczywistości stwierdzenia, że nie czyni, aby w ramach posiadanych możliwości porządkować i wprowadzać motywacyjne elementy do systemów wynagrodzeń.

Do takich działań należy wprowadzenie wielkowych tabel plac, co świadczy o nieprzenieszeniu in extenso systemów z zagranicy, lecz stwarzanie w ramach obowiązującego systemu wynagrodzeń mechanizmów motywujących pracę wydajniejszą. Zastosowanie wielkowych (szczeblowych) tabel plac daje możliwość składowania wartościowego zaszczerbowania. Również wprowadzenie systemu motywacji w pierwszej połowie 1983 roku zmniejszyło stosowanie preferencji placowych w stosunku do grup pracowników wykonujących pracę szczególnie ważną dla zakładu bez potrzeby wprowadzenia dodatkowych elementów placowych. Wszelkie wprowadzone i modyfikowane regulatory premowania dla członków dyrekcyj zakładów i pracowników na stanowiskach nierobotniczych zawierają elementy motywacji placowych skorelowane z najważniejszymi celami produkcyjnymi i ekonomicznymi zakładów i kombinatu.

Reasumując zatem można się zastanowić czy w tym obszarze zrobiono wszystko co było możliwe ale nie do przyjęcia jest teza autora, iż nie robi się nic, a można byłoby zrobić tak wiele.

I wreszcie na koniec blok zagadnień, które znamionować mają brak poszanowania elementarnych zasad rachunku ekonomicznego. Pytanie retoryczne „o ile wyniki byłyby lepsze, gdyby poważniej i odważniej traktowano rachunek ekonomiczny” poprzedza dwa przemyslenia autora.

Pierwsze z nich to stwierdzenie, że w kopalniach KGHM nie jest prowadzona selektywna eksploatacja złóż, zakończone sentencją o kolosalnych oszczędnościach wynikających z zastosowania tejże selektywności w eksploatacji rudy miedzi.

Nierozwinięcie tematu selektywności eksploatacji złoża oraz brak uściślenia, co przeż to autor rozumie ograniczenia możliwości polemizowania. Replikowanie bowiem musiałoby się sprowadzać do określenia czy chodzi o selektywne ubarbianie rudy, selektywny transport urubku czy też selektywne prowadzenie przeróbki? W dalszym ciągu trzeba byłoby wyjaśnić na ile w poszczególnych

sferych selektywność można zastosować uwzględniając realia funkcjonujących systemów ekonomicznych. W przypadku przerobu rudy a nie jej wydobycia, jak to ma miejsce w praktyce, przypadkiem może się to zdarzyć, że przy budowa kopalni, Zarząd jest poważny, to prawda ale postawienie go w tak demagogiczny sposób wymaga od tego, któremu go postawiono udowodnienia, że nie jest przysłówiowim wielbiadłem.

I drugi przykład mający świadczyć o braku poszanowania rachunku ekonomicznego, to nieuwzględnianie w wewnętrznej cenie rozliczeniowej za koncentrat miedzi kar i premii z tytułu zawartości chloru. Z faktu, że z warunkach kontraktu eksportowego z zachodnimi Niemcami odbiorca uwzględnił zostały odpowiednie, odbiorca i warty na wartość chloru, wyciąga autor wniosek, że niezastosowanie tego samego w cenie wewnętrznej jest działaniem antyefektywnościowym.

W warunkach cenowych znajdujące swój wyraz w formule cenowej są funkcją wielu czynników, z których najważniejsze to technologia przerobu półproduktów i wpływ zawartych pierwiastków na jakość produktu, kompozycja wsadu oraz uwzględnienie warunków umożliwiających z punktu widzenia odbiorcy obniżenie ceny zakupu, a z punktu widzenia dostawcy wzrostu ceny sprzedaży.

Wyciągając zatem wnioski jak czyni to autor i rozpatrując warunki kontraktowe eksportu koncentratów miedzi do Finlandii czy Szwecji (którzy nie uwzględniają zawartości chloru w formule cenowej) można odwrócić pytanie lub skierować je do tych nie liczących się z rachunkiem ekonomicznym kapitalistów.

Ponadto jeśli już rozpatrujemy warunki kontraktowe i stwierdzimy, że któryś z odbiorców stawia zastrzeżenia co do zawartości arsenu czy fluoru, a drugi tego nie czyni, to jest to przejaw elementarnego braku poszanowania rachunku ekonomicznego.

Wreszcie jeśli już jesteśmy przy tym te-
macie, to godzi się wspomnieć, że własni
KGHM jako badacze jedynę przedsiębior-
stwa w Polsce wprowadziło już w 1982 roku
miedzy innymi formułę cenową na koncentrat
miedzi, przewidując wzrost jakości koncentra-
tu, a w podwójną siłę, właśnie z formuł świa-
towych nie stosowanych ani obecnie, przez
nich ani poprzednio ani obecnie, przez
innych producentów. W wyniku zastosowania
wyżej wymienionej formuły cenowej uzyska-
no m. in. wydatny wzrost zawartości miedzi
na koncentracie z 22,0% proc. w 1981 roku do
24,72 proc. w roku 1984.

W podsumowaniu swego artykułu red. Janusz Dobrzański ocenia obowiązujący w kombinacie system finansowy, gdzie krytyka spłata się z domysłami autora: „Jednego jest tak dobrze skoro jest tak źle”? W tym miejscu należałoby wrócić do początku artykułu i stwierdzić autora że informacje o funkcjonowaniu i wynikach KGHM są niepowinno wyselekcjonowane i eliminuje się z nich wszelkie niedoskonałości. Na pewno jest w tym sporo racji, bo zawsze czynnik subiektywny w autoocenach pozostanie.

Zabierając jednak głos publicznie jest po-
żądane jeśli nie konieczne sprzeczanie za-
słyszanych wiadomości. Wówczas na pewno
autor nie przeprzałby tych „bohaterów wy-
walczonych ulg podatkowych”, które w 1984
roku poleżały na zwolnieniu kombinatu z
wpłaty amortyzacji do budżetu w wysoko-
ści 1,0 mld zł, wobec odprowadzonych do
państwa obciążeń podatkowych w kwocie
przekraczającej 20 mld zł. Wiedziaby rów-
nież, że za „dominującą” giełdę „pogođa dia
miedzi” jest właśnie jeśli nie fatalna dla
przynajmniej zł.

Niemniej w pełni należy się z autorem zgodzić, że trzeba myśleć ekonomicznie. Różnimy się tylko w jednej kwestii, uważamy, że mświenie to z lepszymi czy gorzszymi skutkami realizujemy czego autor odmawia nam w sposób kategoryczny i autorytatywny. Nalozrsze jest w tym wszystkim odmowa nie zawsze stoją fakty lecz czsto normalna demagogia.

Rzecznik prasowy
KGHM w Lubinie
JERZY LEGIEC

Od autora:

Zanim powiem co sądzę na temat zarzuca-
nej mi autorzytawności sądów, kategorycznie
stwierdzę i wręcz dogmatycznie
w formułowaniu wniosków, pozwole sobie
stwierdzić kilka zdań o sprawach tylko pozor-
nie drobiazgowych, na jakie natknąłem się
czekając realnie. Otóż już na wstępie na-
padł Pan w sprzeczności z logiką, co odcieka
świecietno na dalszych wywodach z kono-
wacji, konkluzja właściwie. Sądze, że była to
kwaśna domiętna linia, a nie prosta i jasna
konstatacja konstytucyjnie opartego. Pan konstato-
wał wypowiadzł.

W Piśmie Państwowym podzieliłem się „swoimi uwagami na temat funkcjonowania Kombinatu Górniczo-Hutniczego Miedzi w Lublinie”. Słuszne, ba rzeczywiście podzieliłem się uwagami. Uwagami i niczym więcej. I tak też należało to moje pisanie odbierać. A drugim zdaniem stwierdza pan: „Artykuł nie jest polemiką, może być komentarzem”. Czyżby „nie” był synonimem słowa „artykuł dyskusyjny” oraz nie zawierał tak kategoriicznych stwierdzeń?”

Gdyby przelać ten punkt widzenia i nadać mu obowiązującą zasadę, to każdy artykuł publicystyczny musiałby być oparty na klauzula „dyskusyjny”. A przecież nie może nie robić. Tak już jest świat urzędowy. I ten sam fakt można ocenić przymiennie: dwóch punktów widzenia i nikt z tego powodu nie ponada w rozmiarach. Po prostu każdy ma prawo do własnego, własnych sądów.

W tym przypadku prawo do głoszenia własnych sądów przysługuje jednak do meritum sprawy. Odwołanie się do kwestii funkcjonowania ZGGM i ZGSM nie może służyć zażaleniu i ocenie wyroków sądowniczych za żądanie zrewidowania i zmniejszenia rachunku narzutu megalomaniowego w opiniiach i książkach, stwierdza Pan. Za zgodzonymi autorów można wywnioskować, że „dandylizm” jest fakt funkcjonowania przez zakładów o profilu internistycznym czy też psychiatrycznym.

[illegible]

zy na tej podstawie można uznać, iż za „skandaliczny” oskarżenie o fakt istnienia trzech zakładów zaplecza?

Z liżb, które Pan podał, wynika jasno, że Średni wskaźnik zmienności w omawianych zakładach wynosi 1,282. Nie będzie się spierać, czy można uznać, że z trudem przekracza on jedność, czy nie. Sprawa ta raczej nie wymaga uwagi i nie budzi krytyki. Można byśmy co najwyżej dyskutować o interpretacji wg kryterium pragmatyki ekonomicznej. Ale czy byłoby to sensowny spór? W istocie nie o to chodzi. Wiemy obać doskonale, że wskaźnik zmienności nie jest

waszkniemkiem w pełni miarodajnym, i że na jego podstawie nie można wyrokować o stopniu wykorzystywania parku maszynowego. Wystarczy bowiem, aby np. dyrektor ZNM przeczucił część załogi z pierwszej zmiany na drugą i trzecią, a wskaźnik znakomicie się poprawi. Ale czy naprawdę się wykorzystanie maszyn? Oczywiście nie. A pisząc to, nieświadomie napisałem myślenie o wykorzystaniu parku maszynowego, które w omawianym przypadku jest takie jakie jest – oczywiście skandalicznie niskie. To fakt, któremu nie sposób zarzucić. Wskaźnikiem zmianom w służbie nie było, więc nie było dlatego, że nie dysponowałem żadnym bardziej miarodajnym. Ale i on oddaje prawdziwy obraz rzeczywistości.

O cóż jeszcze ma Pan do mnie pretensje. O cóż o to, że „Autor przedstawia receptę jak ten stan rze wyc poprawić, aby nie był tak skandaliczny. Jedno z rozwiązań to fusie jednostek i eliminacja np. jednego z zakładów”.

...i znów błędna – nie chce powiedzieć ka-
zistyczna, interpretacja. Nie „przeplisy-
wać” Kombinatorów żadnych „recept”. Ze-
szła plaça mi nie za ordynowanie leków, a
plaça się za to, aby w KGHM wielu ludziom
zdiagnozować choroby, szukać uzdrawiają-
cych specyfików. Snując rozważania na le-
miej zaniechać zakończenia je konkluzją, cy-
li: „Na tym to mogłoby się skończyć pyta-
nia z trzech zakładów zrobić np. dwa, eli-
minując zbędnych maszyn, poprawiając
ich konstrukcję, z ekonomizacji, czy to wyeli-
minować część maszyn, urządzić nowy budy-
nek przy zakładach, by zmusić je do ścisłej ko-
operacji? Sa to tylko dwa z pytań możli-
wych, nie wykluczając innych!”

„Nie rozwiat Pasa ani tej wapielności, ani...”

innych. Gdyby napisał Pan pod moim ad-
resem powiedzmy (tak: Nie masz pan racji,
żeś dawno dokonałismy gruntownej analizy
funkcjonowania zaplecza dysponencyjnego
i dokładnym rachunkom dysponen-
taryum ekspertyzami, których jasno wynika,
że model istniejący jest modelem optymal-
nym, więc nie zamierzamy go zmieniać,
a wszelka krytyka generalistów jest po prostu
krytykautwem. Nie miałbym nie do powie-
dzenia. Ale tego Pan nie napisał. Zarzuca
mi Pan za to autorytatywność sądów i de-
magogie. Chyba po prostu dlatego, że takiej
analizy w KGHM nie przeprowadzono... Jest
to tylko wątpliwość, a nie autorytatywny
osąd.

Podobnie postępuje Pan w kilku kolejnych przypadkach, mówiąc o zapleczu, czego — osławiam — nie generalizuję. Nie do wszystkich jednak mogę się odnieść — czego żałuję — lecz obliłagi mnie normy obywatelskie. Gdybyśmy zaczęli dyskutować o detalach, nasza polemika zajęłaby jedną trzecią numeru. A chciałbym jednak pomóc o kwestiach najważniejszych.

Odnosząc się do mejtoy tezy, że „gdyby KGHM przekazano agentowi do polaczbv obie firmy” — chodzi o ZRK i ZRG — pisze Pan, że „w budownictwie optymalność jednokrotnej organizacyjnej (poziwej) względem wielkości determinowana jest wielkością budów, rozproszeniem robót oraz ich różnorodnością”. Ma Pan oczywiście rację. Ale z tego jeszcze nic nie wynika dla omawianego przypadku. Zastanawiamy się: gdyby połączyć obie firmy zalogi liczyłyby 3900 osób, a nie 4000, to dlaczego? Jeśli dobrze pamiętam, to atak na „nieuliczność” obywateli zalała

czasach największego rozkwitu załoga PBIKAM Lubin (obecnie ZBK) liczyła ponad 3 tysiące pracowników. W firmie doskona-
nie panowano nad organizacją pracy. Zresz-
ta wniosła ona najwięszy udział w budowie ko-
palni węgla kamiennego. Co by było,
gdyby firma powróciła do poprzedniego sta-
nu posiadania? Nie podaje Pan żadnego
dowodu na to, że byłoby to rozwiązanie z
gruntu pozbawione sensu. Nie mogę przyjąć
argumentu, że „jak wiadomo nie zostały się
tworzyć przedsiębiorstwa budowlano-montażo-
we (tworzone ongiś z przesłank nie innych jak
te, które sugeruje autor)”. Domyślam się o-
czywiście, że jakiegoś przedsiębiorstwa cho-
dzi. Ożóż ich tworzenie moim zdaniem było przejawem gi-
gantycznej w minioniej erze „romantyzmu
ekonomicznego”, a nie wynikiem dążenia do
optymalizacji struktur i poprawy efektyw-
ności ekonomicznej. Gdyby było inaczej, to
funkcjonowałyby do dzisiaj, a tymczasem
rozpadły się z trząskiem. KGHM jest też
wielkim kombinatem, a jednak stał się
większy. Jest logiczną strukturą. Chciał-
bym co więcej nie jest talizmanem, w swoim cze-
ści „tworząc” strukturę od wewnątrz rozpa-
dł.

Ale wracamy do sprawy. Pomysł dokonania fuzji ZBK i ZRG, a także ZBGH i ZRN jest połączeniem — 1 tys. pracowników — nie jest nowy i zapewne słyszał Pan o nim. Nie jest to wcale mój pomysł, ja tylko powiedziałem głośno to, co inni myśla i mówią. Wcale nie pytały o użytek. Mysł jest — trzeba było przystąpić do rewolucyjna. I wcale nie jest dziwne, niechcący jest ona przejmowana. Z całą pewnością duże odwołanie winny musiałby mieć człowiek, który postanowiłby podjąć próbę przekucia jej w czyn. Taka reorganizacja pociągnęłaby przecież za sobą likwidację kilku dyrektorskich stanowisk i zrodziłaby potężną opozycję. Z dużych przykładów, kiedy zagrożona zwa węgry, administracja tracąca w swej egzystencji administracja tracąca w swej egzystencji reformy. Wstrętności wypowiedzi na ten temat brak jasnych dowodów, że pomysł jest bez sensu, jestem w stanie zrozumieć. Ale czy nie powinniśmy zacząć? Zaczynamy: nie głośno myśle.

Następna kwestia — systemy placowe. Krótko, bo mój limit objętościowy gwałtownie się kurczy. Różne „widełki” i „szczebelki”, o których Pan pisał, są niczym innym jak zmodyfikowaną do warunków KGHM skalą twardości, która jest podstawą do wyznaczenia stawek twardości w tabeli węglowym. Wprowadzono nie tak dawno tabelę „B” i tzw. drugą, mówi się już o tabeli „C”. Też się ją wprowadzi, bo w związku zawodowe przycisną. Tylko co to wszystko ma wspólnego z motywacyjnym systemem pracy, ze ścisłym uzależnieniem poziomu zarobków od ilości i jakości pracy? Wie Pan równie dobrze jak ja, że nie ma to wiele. Górnik zapytany o to co robi, odpowie: „Pracuję swoje meszeczne”. Zarobki zawsze mówią to samo: „Idę do roboty w wolną godzinę”. Sadzę, że nie jest to dla Pana żadnym zaskoczeniem.

Wiem co stanowiła ustawy. I doskonale rozumiem co jest obawiankiem kombinatu. Ale przecież te akty prawne nie zabraniają wprowadzenia prac nad skonstruowaniem własnego systemu placowych, które można by zastosować np. do ukazania się nowych przepięzów, nie pozwalają wprowadzania rozwiązań oszczędzających premialów pracowników z oszczędzaniem pakietów materiałowych, narzędzi etc. Owszem, w praktyce, w kopalniach podejmują się takie próby, zresztą na ograniczoną skalę. Wiem, że sprawa nie jest prosta, że z Pańskiej wypowiedzi nie wynika jeszcze skala, w ogóle się w KGHM prowadzą, trwają jakieś szermierki „widełkami i sztachetkami” zupełnie mnie nie przekonuje.

Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Wewnętrznego w Legnicy

ogłasza przetarg nieograniczony
na sprzedaż:

- samochodu Syrena R-20, nr rej. LGA 258C, rok produkcji 1977, cena wywoławcza 136.800 zł,
- samochodu Syrena R-20, nr rej. LGA 360C, rok produkcji 1977, cena wywoławcza 86.250 zł.

Przetarg odbędzie się w 14 dniu roboczym od daty ukazania się ogłoszenia o godzinie 10 w Legnicy, ul. E. Plater 25/27.

Pojazdy można oglądać w dni robocze w godzinach 9—14 przy ul. E. Plater 27.

Przystępujący do przetargu winni wpłacić wadium w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej, najpóźniej w przeddzień przetargu do kasy naszego przedsiębiorstwa.

W razie niedojścia do skutku I przetargu, II przetarg odbędzie się w tym samym dniu o godz. 12.

Zastrzegamy sobie prawo do unieważnienia przetargu bez podania przyczyn.

314-k

KRAJOWA PAŃSTWOWA KOMUNIKACJA SAMOCHODOWA

Oddział VII w Lubinie, ul. Ścinawska 49

ogłasza przetarg nieograniczony

- na wykonanie remontu wiat przystankowych w gminach:
Lubin, Ścinawa, Polkowice, Chojnów, Chocianów, Gromadka, Rudna.

Termin wykonania — 30.03—15.05.1985 r.

Orientacyjna wartość robót — 2.000.000 zł.

Oferty należy składać w biurze działu administracyjno-gospodarczego.

Otwarcie ofert nastąpi po 14 dniach od daty ukazania się ogłoszenia.

W przetargu uczestniczyć mogą przedsiębiorstwa państwowe, spółdzielcze i prywatne, dysponujące materiałem i potencjałem wykonawczym.

315-k

WOJEWÓDZKIE PRZEDSIĘBIORSTWO GOSPODARKI TURYSTYCZNEJ „PIAST-TOURIST”

w Legnicy, ul. Obrońców Stalingradu 12

z dniem 1985-04-01

ODDA W AGENCJĘ KIOSK PAMIĄTKARSKI przy HOTELU „POD BASZTĄ” w Złotoryi, plac Reymonta 4.

Informacja: Dział eksploatacji WPGT, tel. 337-56.

312-k

DYREKCJA WOJEWÓDZKIEGO SZPITALA ZESPÓŁONEGO w Legnicy

INFORMUJE

że w Poradni Rodzinnej przy ul. Dworcowej 7 przyjmuje i udziela porad psycholog i prawnik.

Szczególne informacje, tel. 246-06.

316-k

Przedsiębiorstwo Usług Technicznych Państwowych Gospodarstw Rolnych

w Legnicy, ul. Wielogórska 53

ogłasza przetarg nieograniczony

na niżej wymienione pojazdy:

1. Muscel M 461, nr rej. 682R, nr silnika 98923, nr podwozia 68622, cena wywoławcza 79.200 zł.
2. Fiat 125pK/1500, nr rej. LGA 132B, nr podwozia 539396, nr silnika 474171, stopień zużycia 75 proc., rok budowy 1976, cena wywoławcza 225.000 zł.

Przetarg odbędzie się w 14 dniu po ukazaniu się w prasie o godzinie 10.

Wadium w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej należy wpłacić najpóźniej na jeden dzień przed przetargiem w kasie przedsiębiorstwa.

Pojazdy można oglądać w godzinach 8—14.

W razie niedojścia do skutku I przetargu, II odbędzie się w tym samym dniu o godzinie 12.

Przedsiębiorstwo zastrzega sobie prawo do wycofania pojazdu z przetargu bez podania przyczyn.

317-k

WOJEWÓDZKI URZĄD TELEKOMUNIKACJI

w Legnicy

Z A W I A D A M I A,

że w związku z pracami montażowymi

CENTRALI E-10 W LUBINIE,

z dniem 1985-03-09 nastąpi zmiana numeracji telefonów abonentom posiadającym telefony od nr 43000 do 43599.

Dla tych abonentów obowiązywać będą numery sześciocyfrowe, zgodnie z przesłanymi wykazami zmian.

O dalszych zmianach numeracji telefonów WUT w Legnicy poinformuje w późniejszym terminie.

313-k

Ogłoszenia drobne

ZGUBY

ZGUBIONO prawo jazdy kat. B, nr 7834 wydane przez Wydział Komunikacji w Złotoryi na nazwisko Stanisław Ochla zam. Złotoryja, pl. Wolności 1/11. 20175-g
ZGUBIONO prawo jazdy kat. A, B, C, nr 106 wydane przez Urząd Miasta Chojnów na nazwisko Roman Gruchalski, zam. Chojnów. Drzymały 12/3. 20177-g
ZGUBIONO prawo jazdy kat. A, B, C, nr 1181, wydane przez Urząd Miejski w Złotoryi na nazwisko Tadeusz Karnilowicz, zam. Budziszewo 2. 20178-g
ZGUBIONO prawo jazdy kat. A, B, C, T, E, wydane przez Urząd Gminy w Krotoszycach na nazwisko Bogdan Zięba, zam. Tyńcyk Legnicki. 20180-g
ZGUBIONO prawo jazdy kat. A, B, C, E, T, wydane przez Urząd Gminy Krotoszyce na nazwisko Jan Kasperkiewicz, zam. Krajów 15a/1. 20181-g
ZGUBIONO pieczęć o treści: „Murarstwo — Betoniarstwo Tadeusz Ziolkowski 59-500 Złotoryja, pl. Wolności nr 30/1, upr. z paragraf. 20 i paragraf. 11 U. i pkt. 1 nr ewid. Ww 174/75”. 20182-g
ZGUBIONO prawo jazdy kat. B, C, E, wydane przez Wydział Komunikacji w Złotoryi na nazwisko Waldemar Maślanka, zam. Złotoryja, Cmentarna 3/1. 20191-g
ZGUBIONO prawo jazdy kat. A, B, C, E, wydane przez Urząd Gminy Legnickie Pole na nazwisko Robert Grobicki, zam. Gniewomierz 20. 20192-g
ZGUBIONO prawo jazdy kat. B, wydane przez Urząd Miejski w Legnicy na nazwisko Henryk Narloch, zam. Legnica, Liebknechta 6/3. 20195-g
ZGUBIONO legitymację służbową nr 00770 wydaną przez WUP Legnica na nazwisko Jan Płocenniczak, Chocieniński 37. 484-p
ZGUBIONO legitymację służbową nr 00352 wydaną przez WUP Legnica, Marianna Nowosielska, Głogów, Matejki 2/18. 485-p
ZGUBIONO prawo jazdy kat. A, B, C, E, wydane przez Urząd Miejski w Legnicy na nazwisko Janusz Laszewicz, zam. Legnica, Marsa 7/31. 20199-g

LOKALE

SPRZEDAM pawilon handlowy w Lubinie. Wiadomość: Lubin, tel. 44-39-37 po godz. 18. 20182-g

SPRZEDAM mieszkanie własnościowe M-3, 37 m kw. oraz garaż w Lubinie. Wiadomość: Lubin, Zawadzkiego 64/11, tel. 44-49-96 godz. 18—19. 20173-g
SPRZEDAM lub wydzierżawie czynna pijalnię piwa w Lubinie. Wiadomość: Lubin, Leśna 37/3. 20186-g
SPRZEDAM piwnię — połowę domu w Świeradowie, dom koło Zgierza, dom i warsztat w Legnicy. Kupię mieszkanie około 60 m kw. w starym budownictwie. Wiadomość: Biuro Pośrednictwa, Legnica, Bielańska 17/2, poniedziałek—piątek od 11 do 18 Dymyt. 20193-g
SPRZEDAM pawilon gastronomiczny o pow. 190 m kw. z nadbudową mieszkalną — powierzchnia 140 m kw. plus garaż (stan surowy) w Legnicy. Wiadomość: Legnica, tel. 647-78 po godz. 17. 20179-g
ODSTĄPIĘ agencję na wytwórnię wody gazowanej w Legnicy. Wiadomość: Lubin, tel. 445-488 po 20. 20197-g

NIERUCHOMOŚCI

SPRZEDAM domek jednorodzinny wraz z zabudowaniami gospodarczymi. Wiadomość: Szczytniki Duże 69, woj. Legnica. 20185-g
SPRZEDAM tani dom wolnostojący 6-pokojowy z ogrodem lub zamienię na mieszkanie w nowym budownictwie z dopłatą. Wiadomość: Legnica, Akacjowa 79 po 18. 20184-g
GOSPODARSTWO — OGRODNICTWO, dom, mieszkanie, działkę sprzedasz — kupisz w Lubinie. Wiadomość: Legnica, Bielańska 17/2, poniedziałek — piątek, 11—18 Dymyt. 20171-g

SPRZEDAŻ

PILNIE sprzedam: magiel elektryczny do punktu usługowego. Wiadomość: Lubin, Sportowa 58/3. 20174-g
NADWOZIE nowe — Skoda S-110. Wiadomość: Lubin, tel. 44-45-51. 20187-g
SPRZEDAM automaty zrzecznościowo-wiszące typ Rotamint i Rotomat, stan idealny, przystosowane do wstawienia w klubach i gastronomii, tel. Wrocław 61-41-00 rano do godz. 10 lub po 20. 20174-g
SPRZEDAM ciagnik C-350. Wiadomość: Legnica, tel. 29164, 17—20. 20182-g

USŁUGI

DYWANY, wykładziny czyszczone. Wiadomość: Legnica, Morelowa 28, Komosiński. 20190-g
EKSPRESOWA i zwykła naprawa pralek. Wiadomość: Legnica, Świerczewskiego 50/2. 20148-g
Pawłucz, tel. 341-76. 20174-g
TRZPIENIE robotwa. tel. 312-31, Radek. 26077-g

Katalog

Počas pogrzebu Edny Garner deszcz lał jak z cebra. Henry i Laura Cavanaugh stali nieco z boku. Edna Garner była długoletnią przyjaciółką rodziny Laury, a siostrzenicą Edny — Elizabeth, razem z Laurą chodziła do szkoły.

Kiedy zakończono już modlitwy nad grobem zmarłej Laura podeszła do Elizabeth i jej męża — Paula Goddarda aby im złożyć kondolencje. Obok Goddarda stał jakiś młody człowiek, ale Elizabeth nie przedstawiła go swej koleżance...

— Dzięki Bogu mamy to już za sobą! — mruknął Henry, gdy wychodzili z cmentarza.

— Nie bądź tego taki pewien — odpowiedziała Laura, dyskretnie wskazując wysokiego mężczyznę niebale opartego o ich samochód. Był to sierżant McKerney.

Henry podeszedł do niego i zapytał: — Jakże wiadomości ma pan dla nas? Zanim jednak padła odpowiedź, Laura zaproponowała:

— Porozmawiamy o tym w domu...

Gdy wypili już herbatę, McKerney wyjął z kieszeni notes i przeczytał: „Edna Garner... znaleziona nieżywa... książka na kolanach... na podłodze kryształowa szklanka... żadnych śladów użycia przemocy...”

— Co to była za książka? — zainteresowała się Laura.

— Katalog obrazów jednej z nowojorskich galerii... Wydany w 1964 roku...

Kiedy sierżant już wyszedł, Henry powiedział:

— A więc nie jesteśmy jedynymi, którym wydaje się, że śmierć Edny jest trochę podejrzana...

Zamyślił się znowu, a potem zatelefonował do swojego przyjaciela Jeffry Daltona...

Było już późne popołudnie, kiedy Dalton zatelefonował do Henry'ego i przekazał mu informacje, iż służąca Edny pracuje teraz jako kelnerka w restauracji przy torze wyścigowym. Dodał także, że wyszukał już katalog, na którym Henry'emu tak zależało. Umówili się na torze wyścigowym.

Jeffry oficjalnie był dziokejem, ale należał do tak wszechstronnie uzdolnionych ludzi, że Henry często powierzał mu różne zadania, odpowiadające zdolnościom przyjaciela.

W restauracji było niewiele osób. Zajęli stolik nieco oddalony od innych. Zaraz też podeszła do nich kelnerka.

Laura zamawiając cocktail zauważyła:

— Niezbyt duży ruch dzisiaj. Jakim cudem radzicie sobie w ugorkowym sezonie?

— Większość z nas ma jeszcze drugie miejsce pracy — odpowiedziała kelnerka. — Na przykład ja pracuję kilka godzin tygodniowo jako pomoc domowa.

— Ach! Przecież ja panią poznaję! — zaskoczenie Laury miało wszelkie cechy prawdopodobieństwa. — Przecież pani pracowała u Edny Garner... Czy to pani znalazła ją martwą?

— Nie. Tamtego dnia wyszłam stamtąd o 4 po południu.

— Gdy widziałam Ednę po raz ostatni nie sprawiała wrażenia ani osoby chorej, ani zdenerwowanej — zauważyła Laura.

— Też jestem tego zdania proszę pani... Chociaż... Ostatnio była jakby tro-

chę zmęczona i stale powtarzała: „Drzwi są zamknięte...”

Jeffry wręczając Henry'emu z trudem zdobyty katalog nowojorskiej galerii z 1964 roku powiedział:

— Mam jeszcze coś. Moja przyjaciółka z Nowego Jorku zna tego młodego mężczyznę, o którego pytałeś. Studiowali razem w akademii sztuk pięknych. On nazywa się Michael Wills... Mąż siostrzenicy pani Garner — Paul Goddard wprowadził go do domu starej lady... Nie jestem tylko pewien czy ten fakt będzie miał dla ciebie jakieś znaczenie.

Willi Garnerów była najokazalszym domem w mieście... Henry zadzwonił. Drzwi otworzyła Elizabeth:

— Byliśmy tak blisko, że postanowiliśmy wpaść do was na chwilę — powiedziała Laura.

Weszli do salonu. W tej samej chwili drzwiami wszedł mąż Elizabeth krzyżując:

— Co się tu dzieje, u diabła?

Rozejrzawszy się wokół i spurpurowiał na widok Henry'ego, lustrującego obraz wiszące na ścianie. Z widocznym trudem opanował jednak, by nie wybuchnąć śmiechem i w momencie, gdy do salonu wszedł sierżant McKerney w towarzystwie Michaela Willsa, był już niemal całkowicie spokojny.

— Chciałbym wyjaśnić kilka drobnych zaniżek zamknę sprawę — powiedział sierżant.

Tymczasem Henry zdjął ze ściany niewielki obrazek i położył go przed Laurą razem z otwartym katalogiem.

— Spróbuj znaleźć błędy na tym obrazie — szepnął.

Laura spojrzała na obraz. Był to widok Willi Garnerów. Namalował go Daniel Sanborn — drugi mąż Edny. Nagle drgnęła... Zobaczyła zupełnie wyraźnie, że na obrazie drzwi były zamknięte, podczas gdy na fotografii w katalogu widać było, że drzwi są lekko odchylone... Pochyliła głowę i zauważyła dalsze drobne różnice... Zwróciła się do Michaela:

— Słyszałam, że w dzisiejszych czasach fałszerze obrazów robią kokosowe interesy. Czy to prawda, Michael?

— Winieniem państwu podziękować za skuteczne wmieszanie się w tę sprawę — uśmiechnął się sierżant McKerney do Laury i Henry'ego.

— Chciałbym jednak wiedzieć, w jaki sposób wpadliście na to, że obraz jest fałszykiem?

Henry zaśmiał się:

— Po prostu porównaliśmy obraz, który znajdował się w domu, z fotografią oryginału zamieszczoną w katalogu... Przecież to właśnie ten katalog przeglądała Edna w dzień swojej śmierci... Michael Wills i Paul Goddard popełnili błąd kopiując Sanborna. Ten obraz był bliższy sercu Edny i znalazła go w najdrobniejszych szczegółach. Dlatego przed śmiercią powtarzała w kółko: „Drzwi są zamknięte...”

— Biedna stara Edna straciła wszystko — powiedziała Laura.

— Była bardzo nieśczęśliwa. Przeżyła wszystkich, których kochała, a na końcu odkryła, że ukradziono jej ostatnie, umiłowane skarby... Nie chciała żyć dłużej...

polemiki

„Model ze spizu”

(Dokończenie ze str. 13)

I ostatnia sprawa — selektywna eksploatacja złóż. Przecież nie jest tajemnicą, że nie tak znów dawno temu istniała grupa ekonomistów usiłująca zwalczać tzw. mit tony, materializowany w kopalniach miedzi, przez oczywisty pęd do podnoszenia wydobywania, czyli do kopalni „kamieniołomów”. Nie bez przyczyny. Obok rudy wydobywano także spore ilości kamienia, który transportowany, a następnie przerabiany podnosił ogólne koszty, nie dając nic w zamian. Chodziło o to, aby już na etapie wydobywania eliminować udział kamienia w urobku. Na tym miała polegać owa selektywność. Generalnie w kopalniach mit tony już nie obowiązuje, zmieniły się wskaźniki. Ale czy wszędzie obowiązuje selektywność?

I na koniec refleksja. Doskonale rozumiem

Pański obowiązek obrony kombinackiego status quo. Ale nie znaczy to, że się z tym zgadzam. Nadal mam wątpliwości czy KGHM jest wzorcowym modelem ze spizu. Oto kolejny przykład. Od powołania 20 jednostki organizacyjnej KGHM Zakładu Zaopatrzenia „Zakmat” nie upłynęło aż tak wiele czasu, by można było zapomnieć co przyswierało temu przedsiębiorstwu. Utworzenie „Zakmatu” miało uporządkować system zaopatrzenia w kombinacie i zredukować koszty zaopatrzenia w poszczególne zakłady. Jaki jest rezultat? „Zakmat” pobiera za usługi marżę handlową, bo musi się sam utrzymać, ale prosić mi pokazać zakład, w którym zredukowano koszty zaopatrzenia. Bo ja takiego przypadku nie znam.

Kończąc, zgadzam się całkowicie, że trzeba myśleć ekonomicznie.

JANUSZ DOBEZAŃSKI

Tydzień w telewizji

od 8 do 14 marca 1985 r.

Piątek

10.50 Wiadomości. 16.25 Wiadomości. 16.30 „Tylko dla orli”. 16.55 Dla dzieci: Piątek z Pankracym. 17.20 Wiadomości. 17.30 Związek zawodowy jaki jest? — magazyn związkowy. 18.00 Bez próby — Dzień Kobiet. 19.00 Dobranoc: „Sasiedzi”. 19.10 Tele-gol. 19.30 Dziennik. 20.00 Monitor rządowy. 20.30 „Białe tango” — radz. film obcy. 21.55 Komentarze. 22.25 Wiesław Ochman o kobietach. 22.55 Wiadomości.

PROGRAM II

16.55 Program dnia. 17.00 Siedziwo w sprawie nauki — Złoty w Polsce. 17.30 Post scriptum magazynu Aut. 18.00 Prosto z morza — magister żegluga wielkiej. 19.30 Program lokalny. 19.00 Zbliżenia — czyli to i owo o filmie. 19.20 Przeboje „Dwójki”. 19.30 Dziennik. 20.00 „Galeria świata”. — „Office we Florencji” (1) film dok. RFN. 20.30 Variete — Variete — pr. rozr. 21.15 Wydarzenia. 21.30 Przeboje „Dwójki” paniem. 22.00 Filmy Eli Kazana — „Goscie” — dramat psych.-obcy. Wyk. Patrick McVey, Patricia Joyce, James Woods. 23.25 Wiadomości.

Sobota

8.25 Program dnia. 8.30 „Tydzień na działce”. 9.00 Dla młodych widzów: „Sobotka” oraz film z serii „Dop Kiszot z Manczy” (18). 10.30 Wiadomości. 10.40 Historia dramatu polskiego: Janusz Krasinski „Czapa, czyli śmierć na raty” reż. Tadeusz Jaworski, wyk.: Tadeusz Fijewski, Jan Matyjaszkiewicz, Józef Kondrat i in. 12.10 „Na krawędzi słowa”. 12.30 „Drodo bez biletu” — „Przez Zambę do Kalaharu”. 13.00 Poradnik rolniczy. 13.30 „Cyryk, cyryk, cyryk” (2) — pr. rozr. tv. 14.30 „Ala Pugaczowa”. 14.50 „Młodzi i miłość”. 15.00 „Wielki irlandzki”. 15.30 „Złoty”. 15.50 „Wielki irlandzki”. 16.00 „Droga na zachód” — polski film sens. reż. Bohdan Poręba. Wyk.: Kazimierz Opaliński, Władysław Kowalski i in. 17.20 Studio sport — I liga piłki nożnej. 18.05 Losowanie Dużego Lotka. 18.20 „Pegaz”. 19.00 Dobranoc. „Olimpiada Bolka i Lolka”. 19.10 „Życie w krajoznawie”. 19.30 Dziennik. 20.00 „Zemsta różowej pantery” angielska kom. krym. reż. Blake Edwards. Wyk.: Peter Sellers, Herbert Lom i in. 21.35 „Czas” — mag. public. 22.05 Wiadomości. 22.10 Wiadomości sportowe. 22.35 „I ty któregoś dnia” — cykl muzyki Ryszarda Poznańskiego. 23.05 Kino nocne: „Piękna i potwór”, czechosł. film fab.

PROGRAM II

11.00 Wiadomości. 11.10 Filharmonia „Dwójki” — gra ork. kameralna PRITV w Poznaniu pod dyr. Agnieszki Duczmal. 12.00 „Gd soboty do soboty” — telewizyjny informator kulturalny. 12.20 „Trzy kwadransy ze sportem”. 13.00 „5-10-15” zespół „Dom” przedstawia. 14.30 Mieszkańca firmowa soboty w „Dwójce”. 14.35 Głos „Dwójki” — Unitra — powieść i plany radiotelefoniki. 14.45 „Wideo”. 15.10 Głos „Dwójki” — Unitra — powieść i plany radiotelefoniki. 15.45 „1500 sekund wielkiego sportu”. 17.10 Unitra — szkole: zabawy komputerowe — szkolna telewizja video. 17.25 „Żyjąca planeta” (1) — „Formowanie się powierzchni ziemi” — ang. serial popularnonaukowy. 18.20 Unitra odpowiada na pytania widzów. 18.30 Program lokalny. 19.00 Główna linia — reportaż tygodnia. 19.30 Dziennik (dla niesłyszących). 20.00 „Bis na bis i nie tylko”. 21.00 Studio sport. 21.15 „Tydzień w polityce” — komentarze Karol Szynkiewicz. 21.25 „Komedia personalna” — Krzysztof Majchrzak. 22.00 Wiadomości. 22.05 Literatura i ekran — „Pustelnia parmeńska” (6) serial RFN. 23.05 „Wokół estrady” — Zbigniew Wodecki.

Niedziela

8.15 Program dnia. 8.30 „Tydzień” — magazyn rolniczy. 9.00 „Teleranek” oraz film z serii „Eram”. 10.30 Wiadomości. 10.35 „Decydujący Ironi”. 11.25 „Wojna w powietrzu” — radz. serial. 11.55 „Siedem anten”. 12.25 „Poranek symfoniczny” — gra Wielka Orkiestra Symfoniczna PRITV w Katowicach. 13.35 Teatr młodego widza — Ewa Nowacka — „Małgosia kontra Małgosia”. reż. Tadeusz Woronkiewicz. Wyk.: Ewa Wencel, Kazimiera Nogajówna, Zofia Tomaszewska i in. 14.30 „Kraj za miastem”. 15.00 Wiadomości. 15.10 Telewizyjny koncert żywych. 15.55 W starym kinie: „Papa się żeni”. reż. Michał Waszyński. Wyk.: Antoni Fertner, Mira Ziminska, Franciszek Brodniewicz. 17.15 „Skarbiec”. 17.30 Studio sport — I liga piłki nożnej. 18.20 „Antena”. 19.00 Wieczorka „D’Artagnan i trzech muszkietierów”. 19.30 Dziennik. 20.00 Polski film telewizyjny — „Ceremonia pogrzebowa” — reż. Jacek Bromski. Wyk.: Anna Romantowska, Jadwiga Jankowska-Cieslak, Bogusław Linda i inni. 21.30 Klub międzynarodowy”. 22.05 Sportowa niedziela. 22.50 Wiadomości. 23.35 „Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej”.

PROGRAM II

9.00 Film dla niesłyszących. 10.30 „Perysko” — pr. wojsc. 11.00 Wiadomości. 11.10 „Gimnastyka przy muzyce”. 11.20 „Złote ekrany” — „Rzeczpospolita miejska” — „W obronie własnej”. — programy O. Wiercorka. 12.00 „Kwadrans z hejnałem”. 12.15 „Złote ekrany” — „Tik-tak” — pr. dla dzieci. 12.40 Final przebojów „Dwójki”. 13.30 Kalejdoskop filmowy „Kino-Oko”. 14.15 „Złote ekrany” — „Zatrzymane w kadry” — pr. R. Wojcicka. 14.45 K. Familii — Bajka o niezwykłym chłopcu (2) — radz. film fab. 15.50 „Złote ekrany” — „Był reporterem” — T. Zakrzewski. „Pogranicze” — Marian Kubera. 16.20 Recital Stefana Zacha. 16.40 „Juro niedziela”.

lek”. 17.00 „Złote ekrany” — „Spektrum”. 17.30 „Wagner” (5) — serial biogr. 18.30 „Złote ekrany” — dyskusja wokół „Popielce”. 19.00 „Kreacje aktorskie” — Teresa Budzisz-Krzyżanowska i Stanisław Michalski. 19.30 Thermidor — Jerzego Krassowskiego — m. pasja: historia. 19.30 Dziennik (dla niesłyszących). 20.00 Studio sport. 21.00 „Złote ekrany” — „Jarmark” — wyd. specjalne. 22.00 Rozmowa z redaktorem naczelnym „Eki” — Lechem Wleńskim. 22.10 Wiadomości. 22.15 Wielkie filmy małego ekranu „Saga o du Palliserów”.

Poniedziałek

15.25 Wiadomości. 16.30 Dla młodych widzów: „Encyklopedia TDC” — „Inżynier genetyczny” (1). 16.55 Kino „Zwierzynogrody zoologiczne świata”. „Akwarium Vancouver”. 17.20 Wiadomości. 17.30 „Muzyka i portret” — Antoni Majak. 18.00 Telewizyjny informator wydawniczy. 18.20 „Klub szczeni kontyentów”. „Podziemna armia o sarsza Szy-Huang Ti”. 19.00 Dobranoc. „Poczwier”. 19.10 „Echa stadionów”. 19.30 Dziennik. 20.00 Publicystyka. 20.15 Teatr tv. 20.30 „Wielki irlandzki”. reż. Jonathan Miller. Wyk.: C. lin Blakely, Jane Lapotaire, Ian Charles Emrys James i in. W przerwie teatru 21.00 Komentarze. 22.10 II część spektaklu. 23.00 Wiadomości.

PROGRAM II

17.25 Program dnia. 17.30 „Poza Ziemię”. 18.00 „Krajoznawstwo kultury”. 18.30 Program lokalny. 19.00 „Przyjechała telewizja”. 19.20 „Przeboje”. 19.30 „Dwójki”. 19.30 Dziennik. 20.00 „Kaleidroskopia”. 20.15 Brzeński festiwal mirmów. 20.35 „Kapela przydrożna”. 21.00 „Rozr. 21.15 Wydarzenia. 21.30 „Za kierownicą” — magazyn motoryzacyjny. 22.05 Opowiadanie miłości. 22.10 „Późna miłość” film radz. 23.00 Wiadomości.

Wtorek

16.25 Wiadomości. 16.30 Dla dzieci: „Akademia muzyczna” — spotkanie z Agnieszka Duczmal. 16.55 Dla dzieci: „Michałki”. 17.00 Wiadomości. 17.30 „Historie z plotki” (3). 17.35 „Kapryśny maj” serial NRD. 18.30 „Kram”. 19.00 Dobranoc. — „Braciszki i mrówek kowie”. 19.10 „Klinika zdrowego człowieka”. 19.30 Dziennik. 20.00 Publicystyka. 20.15 „Wolnica Isaura” (4) raz. serial. 21.20 „Sprawa dla reportera”. 22.00 Komentarze. 22.10 „Gwiazdy w zbliżeniu” — Nicole Groisille franc. pr. rozr. 23.25 Wiadomości.

PROGRAM II

17.30 Pr. dnia. 17.35 „Szlem” — telewizyjny klub przydrowy. 18.00 „Filar” — C. na myśli”. 18.30 Program lokalny. 19.00 „33”. 19.20 „Przeboje”. 19.30 „Dwójki”. 19.30 Dziennik. 20.00 „Goraca linia” — ekspres reporterów. 20.15 Teatr muzyczny na świecie — Mischa Morawski Seasons czyli z b. letem przez trzy kontynenty (1). 21.15 Wydarzenia. 21.30 „X” zaprasza — „Idiota” (2). „Miłość i zadróżka” — japońska ekranizacja powieści F. Dostojewskiego, reż. Akira Kurosawa. 22.55 Wiadomości.

Sroda

16.25 Wiadomości. 16.30 „Krag” — magazyn harcezy. 16.55 Dla dzieci: „Tik-tak”. 17.00 Wiadomości. 17.30 Losowanie Express Lot. i Małego Lotka. 17.40 „Wibracje” — buł. film fab. 19.00 Dobranoc. „Miś Uszatek”. 19.30 „Pilkarska kadra czeka”. 19.30 Dziennik. 20.00 Publicystyka. 20.15 „Przelamanie” — wid. wisko artystyczne. 21.15 „Sad nad braci polskimi” — film dok. 22.10 Komentarze. 23.35 „Tak czynić” — public. 23.25 Wiadomości.

PROGRAM II

17.25 Program dnia. 17.30 „Kon. moj prz. jacieli” — „Złota szpicruta” — franc. film dok. 18.00 „W obronie własnej”. — „Gro nie tankowe”. 18.30 Program lokalny. 19.00 „Spiewnik domowy”. 19.20 Przeboje „Dwójki”. 19.30 Dziennik. 20.00 „Z dymkiem c. gara” — gawęda Wilhelma Szewczyka. 20.30 „Dookola świata” — Rejs roku”. 21.00 W. darzenia. 21.15 „Portret klasy”. 21.45 Stud sport — Piłkarski Puchar Polski. 22.45 Wiadomości.

Czwartek

16.25 Wiadomości. 16.30 Dla młodych widzów: „O mnie, o tobie, o nas” — stow. rzysszenie myślowych. 17.20 Wiadomości. 17.30 „Interstudio”. 17.55 CZSP informuje. 18.00 „Patrol”. — „Podniebne straż”. 18.30 „Soda”. 19.00 Dobranoc. „Latający zając”. 19.30 „Mieszkańca”. — wszechnica budowlana. 19.30 Dziennik. 20.00 Publicystyka. 20.15 „Berg rae”. — „Złota walka” — ang. film kr. minalny. 21.05 „Program publicystyczny”. 21.00 Komentarze. 22.00 „Seans filmowy”. 22.10 Wiadomości.

PROGRAM II

16.55 Program dnia. 17.00 „Spróbuj sam”. 17.30 „To trzeba wymyślić”. 18.00 Młodzież. 18.30 Program lokalny. 19.00 Klub Antoniego Piechickiego. 19.20 Przeboje „Dwójki”. 19.30 Dziennik. 20.00 „Goraca linia” — express reporterów. 20.30 „Salon muzyczny”. 20.45 „Obrazki z podr. ży” — reportaż filmowy. 21.15 Wydarzenia. 21.30 Oblicza polskiego kina — „Młodo Chopina” reż. Aleksander Ford. Wyk.: C. sław Wolkejo, Aleksandra Słaska, Jan Ku. nakowicz, Igor Smiałowski i in. 23.55 Wiadomości.

